



trzech na jednego

JEDEN:

ADAM DANIEL ROTFELD

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

ADAM KOMOROWSKI

FILIP RATKOWSKI

ŚWIAT OKAZAŁ SIĘ INNY NIŻ MYŚLELIŚMY

EDWARD CHUDZIŃSKI: Jest Pan Profesorem osobą publiczną i sporo rzeczy już o Panu napisano. Jednak chcielibyśmy w Pańskiej biografii i poglądach odnaleźć wątki, które jakoś umykały rozmówcom. I tak na przykład o dom rodzinny pytano Pana wielokrotnie, ale w gruncie rzeczy nie wiemy, jaki to był dom? W jakim języku mówiło się w tym domu?

ADAM DANIEL ROTFELD: Mówiło się po polsku, ale... I tu pozwólcie panowie na dygresję. Otóż kiedy byłem jeszcze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, spotkałem na ulicy pewnego pana, który podszedł do mnie, przywitał się i wymienił nazwisko – Uziębło. Spytałem, czy krewny generała? – Tak – odparł – to był mój ojciec... Niedawno, po latach zadzwonił do mnie i przypomniał się raz jeszcze. – Jestem filatelistą – powiedział. – Co roku na giełdę filatelistyczną w Warszawie przyjeżdża przewodniczący stowarzyszenia filatelistów ze Lwowa. Dzwonił do mnie i powiedział, że ma cztery koperty zaadresowane przez Pańskiego ojca.

Zafrapowało mnie to, bo nie miałem nigdy w rękach tekstu pisanego ręką ojca, więc pojechaliśmy razem na tę giełdę. Kupiłem cztery koperty z nagłówkiem kancelarii mojego ojca i rzeczywiście zaadresowane były tym samym, ładnym, kaligraficznym pismem. Nie wiem, czy są to autografy ojca. Koperty były adresowane do sądów we Lwowie, Brzeżanach, Przemyślanach i Łuc-

ku. Listy nie zachowały się – tylko koperty. Może były w istocie adresowane przez kancelistę czy sekretarkę. Ale jest w tym coś paradoksalnego...

Znikają ludzie, domy, miasta. Przepadają rzeczy trwałe i wartościowe, nawet geograficzne realia zmieniają się, a trwają przedmioty ulotne – absolutnie pozbawione znaczenia. Oto zachował się ulotny ślad, że był taki człowiek, że była społeczność, że była jakaś kancelaria... Przecież papier, w dodatku koperta, czyli opakowanie może zostać wyrzucone na śmietnik, może spłonąć. Tego, że w domu rozmawiano na co dzień po polsku nie zachowałem w pamięci, dowiedziałem się o tym od siostry. Alicja starsza ode mnie o 11 lat opowiadała, że gdy rodzice chcieli, żebyśmy jako dzieci nie wiedzieli o czym rozmawiają, przechodzili na niemiecki. W końcu ojciec był prawnikiem ze szkoły CK monarchii, studiował w Wiedniu. O polskiej tradycji domu świadczy też, jak sądzę, moje pierwsze imię Adam.

FILIP RATKOWSKI: A Daniel to ukraiński Danyto? Imię pewnego zakonnika?

ROTFELD: To fakt, że mnich, który zabrał mnie z domu i opiekował się mną, miał zakonne imię Daniel, ale oba imiona nadali mi rodzice. Drugie imię było zapewne nawiązaniem do biblijnej tradycji. Tak też zostałem ochrzczony. Dodam, że w wyniku starań, nie moich zresztą, tylko innego chłopca uratowanego w klaszto-

rze, ojciec Daniel został zaliczony do grona Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. W ubiegłym roku, gdy z polską delegacją odwiedziłem Jerozolimę w związku z konferencją dotyczącą współpracy Unii Europejskiej z Izraelem, po raz pierwszy po 68 latach spotkałem tego chłopca. To zresztą historia zadziwiająca. Jako pięcioletek przyjechał z Palestyny na wakacje do Lwowa, do babci i tu zastała go wojna. Nie znając w ogóle języka polskiego ani ukraińskiego, przetrwał w klasztorze tych kilka lat i to on właśnie przekazał mi kopię decyzji Instytutu Yad Vashem w tej sprawie.

Także archimandryta, a zarazem przeor klasztoru bł. p. Klemens Szeptycki uzyskał taki tytuł. Zmarł w stalinowskim więzieniu w 1951 roku i jako męczennik został przez papieża Jana Pawła II wyniesiony na ołtarze. Jego brat Andrzej Szeptycki, metropolita lwowski do tej pory nie został beatyfikowany, chociaż proces beatyfikacyjny toczy się z przerwami już ponad 50 lat (rozpoczął się w 1958 roku). Na opory napotyka również przyznanie mu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Tymczasem, bez jego wiedzy i wyraźnego polecenia taka działalność klasztorów unickich nie byłaby możliwa. Wiem z całą pewnością, że wszystkie klasztory, z wyjątkiem jednego, którego przeor miał *notabene* na imię Rafael, podporządkowały się tym wskazaniom.

ADAM KOMOROWSKI: Wspominał Pan kiedyś, że w niewielkich w końcu Przemyślanach było trzy-nastu adwokatów...

ROTFELD: Było ich siedemnastu! Musiały być tam dostateczna ilość spraw i sporów, skoro wszyscy mogli się utrzymać ze swoich usług. Kiedyś, gdy „Polityka” opublikowała fragment moich wspomnień, pewna pani z Bydgoszczy przysłała mi kserokopię rocznika adwokatury polskiej z 1938 roku. Wtedy ich wszystkich policzyłem i skorygowałem swoje błędne wyobrażenia...

CHUDZIŃSKI: Kiedy pytałem o język, jakim mówiło się w domu, to chciałem przy okazji dowiedzieć się, jaki język był językiem pierwszym, w którym zaczął Pan nazywać świat i jaka w istocie była tożsamość Pana rodziny w tej wielokulturowej i wielonarodowej społeczności kresowego powiatowego miasteczka...

ROTFELD: Z domu rodzinnego wyszedłem, gdy miałem trzy i pół roku. Z natury rzeczy to utrudnia mi określenie tego klimatu. Na odwrocie zdjęć, które moja siostra odnalazła przypadkiem, znajdowały się uwagi w języku polskim i niemieckim. Z tymi zdjęciami było tak. Tuż po wkroczeniu Rosjan, gdy siostra wróciła z lasu do rodzinnych Przemyślan, ktoś wskazał jej wioskę, z której chłopci – gdy nasi rodzice zostali zamordowani – wynosili z naszego domu różne rzeczy. Alicja odwiedziła tych gospodarzy. Powiedziała, że zależy jej tylko na pamiątkach. Odzyskała rytualny kielich, jeden talerz z dedykacją i album ze zdjęciami, który należał do mieszkającego w sąsiedztwie zaprzyjaźnionego lekarza. Nie wykluczam, że był krewnym mojej matki. Też padł ofiarą hitlerowców i ukraińskich policjantów. W albumie była też kartka pocztowa adresowana do niego z Belgii, napisana po niemiecku. Zapewne po to, by niemiecka cenzura jej nie zatrzymała. W Galicji – pod austriackim zaborem – osoby wykształcone posługiwały się swobodnie dwoma językami – polskim i niemieckim.

CHUDZIŃSKI: I miał Pan językowe kłopoty?

ROTFELD: W klasztorze najpierw mówiłem po polsku – dodając słowa ukraińskie. Po kilku tygodniach mówiłem już po ukraińsku. Języka drukowanego nauczyłem się na katechizmie i modlitewnikach pisanych w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Pierwszą polską książką, jaką częściowo przynajmniej przeczytałem w klasztorze, był *Książe i żebrak*. Pamiętam, że przy piecu siedział starszy chłopiec i czytał książkę na głos, a ja starałem się śledzić litery, zaglądając do książki od odwrotnej strony stołu.

RATKOWSKI: Liczną grupę dzieci tam przechowywano?

ROTFELD: Było nas osiemnastu – do dwudziestu. Te liczby zresztą się zmieniały w różnych momentach – jedne dzieci przyjmowano, inne przenoszono do innych zgromadzeń zakonnych. Klasztor należał do reguły studytów. Był założony w XIII wieku przez zakonników przybyłych z Belgii. Bezsprzecznie należy do najpiękniejszych klasztorów, jakie widziałem. Leży w dolinie, wśród lasów. Zbudowany jest na kształt fortecy – z murami obronnymi i otworami strzelniczymi, a wokół była fosa z mostkiem prowadzącym do głównej bramy. Na zewnątrz klasztoru był przed wojną budynek sierocińca, który prowadzili zakonnicy. W czasie wojny zdecydowano, że należy przenieść dzieci do środka – do wnętrza klasztornych zabudowań. Spaliśmy na parterze – w dużej sali. Cele zakonników były piętro wyżej. Podobną działalność prowadził w niedalekim Jaktorowie klasztor żeński. Tam przebywały dziewczynki.

KOMOROWSKI: Co było istotą duchowości tego zakonu? Jak była jego misja?

ROTFELD: Nie chciałem w tej sprawie wypowiadać się autorytatywnie. Jako dziecko wiedziałem na ten temat niewiele. Po latach przeczytałem, że była to reguła podobna do bazylianów. Zakon studytów – zlikwidowany przez Austriaków po I zaborze odrodził się na regule na nowo sformułowanej przez obu braci Szeptyckich. Studyci – podobnie jak nasi salezjanie – pełnili rolę oświatową i stanowili ośrodki kultury wśród niepiśmiennego wówczas chłopstwa Galicji Wschodniej.

KOMOROWSKI: A tworzenie ikon też mają w regule?

ROTFELD: Mają własnych *ikonopiszców* – malarzy ikon. Od obecnego przeora Wenedykta otrzymałem dwie ikony – Matki Boskiej Uniowskiej i bł. Klemensa – przeora wyniesionego na ołtarze. Warto wiedzieć, że ikony są wykonywane według kanonu i w pewnym sensie kopia jest również oryginałem.

CHUDZIŃSKI: Po kilku latach ponownie wychodzą Rosjanie...

ROTFELD: Front przetoczył się nad nami czy też obok. Z początku niewiele się zmieniło. Wtedy właściwie ich nawet nie zobaczyłem. Chodziłem już do szkoły. Pewnego dnia przyjechał samochód – kino objazdowe. Było to pierwsze moje zetknięcie z nową władzą. Jak panowie wiedzą, kino w propagandzie radzieckiej odgrywało rolę specjalną. Lenin określił je jako najpopularniejszą ze wszystkich form artystycznej działalności. W największej sali wiejskiej szkoły w Uniowie zawieszono prześcieradło jako ekran, a całą wyświetlająca machina – rzutnik i generator – znajdowała się w samochodzie ciężarowym, z którego rzucał obraz przez okno do wnętrza. Wtedy Ukraiń-

cy z UPA, z którymi zresztą mój klasztor sympatyzował, wrzucili do środka – do sali pełnej dzieci – kilka granatów! Pamiętam po dziś dzień, że wyświetlany był film *Tęcza*...

KOMOROWSKI: Według powieści Wandy Wasilewskiej.

ROTFELD: Dokładnie. Chodziło o to, by filmem, który był na wsi niezwykle atrakcją – pozyskać młodzież. Stąd zamach... Można sobie wyobrazić, co się w tej klasie działo! Kilka ofiar śmiertelnych, wielu rannych... Kilka dni później przyjechali żołnierze NKWD. Wielu chłopów zabrano na Sybir. Widziałem, jak ich wywożono... Potem przychodziły od zesłańców listy. Na prośbę rodzin i pod ich dyktando pisałem odpowiedzi. W większości mieszkańcy Uniowa nie umieli pisać ani czytać.

RATKOWSKI: Jakie były losy Pana siostry?

ROTFELD: Najgorszy czas wojny przeżyła w lesie. Zaczniemy od tego, że mój ojciec był w Przemyślanach osobą znaną. Przewodniczył Radzie Adwokackiej, miał pewien autorytet. W pierwszych tygodniach po wejściu Niemców ludzi się, że uda się przetrwać. Wkrótce jednak zaczęły się „akcje”. Czasami wieczorami wpadali do ojca żydowscy policjanci i informowali, że nad ranem planowana jest taka „akcja”. Jedną z nich zachowałem w pamięci.

Nasz dom z werandą stał przy głównej ulicy miasta. Przed wojną była to ulica Mickiewicza, po wojnie – Lenina i Pierwszego Maja. Dziś ulica nazywa się Halicka. Za domem był sad i w sadzie na wzniesieniu stał dom dziadków, do którego wchodziło się szerokimi schodami prowadzonymi wprost do kuchni. Front tego domu od ulicy wyglądał okazale. W kuchni była specjalna blacha, która miała chronić podłogę przed węglem wypadającym z pieca. Po wejściu Niemców dziadkowie wykopali pod kuchnią schron z przemyślnym wejściem. Było ono pod blachą ze schodkami do podziemnego pomieszczenia, w którym wszyscy – rodzina była dość liczna – mogliśmy się schować w razie niebezpieczeństwa. Zaprzyjaźniona gospodyni – Ukrainka rzucała w ostatniej chwili na tę blachę sporą porcję drewna. Niemcy, którzy wpadali do domów, sprawdzali podłogi kłując je specjalnymi długimi metalowymi prętami i nadstuchiwali odgłosów. Jednak najwyraźniej nie mogli na nasz schowek natrafić, szczególnie że znajdował się on pod piecem. Słyszałem ich kroki i głosy. Dorośli obiecywali mi na ucho złote góry, byleby nie płakał...

Pewnego dnia, wcześniej uprzedzeni, bieглиśmy gęsiego przez sad. Mama trzymała mnie za rękę, ale rozwiązała mi się sznurówka. Zatrzymałem się na moment i już za chwilę byłem przedostatni. Skręciłem na schody. Ostania szła stara ciotka... Na głównej ulicy pojawiła się grupa ukraińskich policjantów. Dziś myślę, że byli pijani, krzyczeli, jeden z nich wystrzelił w naszym kierunku – ciotka upadła na schody. Z ust ciekła jej krew... Zgarnięto mnie w pośpiechu. Po chwili byliśmy w naszym schronie. Na szczęście żaden z policjantów nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, co się z nami stało. Poszli dalej. Zabicie człowieka było wtedy równie mało istotne, jak dziś zabicie wrony! Po kilku godzinach wyczekiwania przyszli Niemcy. Przeszukali cały dom – obstukali podłogi metalowymi prętami. Schron znów okazał się bezpieczny.

KOMOROWSKI: Napatrzył się Pan w dzieciństwie na śmierć!

ROTFELD: Każdą z tych śmierci pamiętam. Dziś, gdy trwa dyskusja wokół książki Jana Grossa *Złote żniwa* nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten, kto nie doświadczył czasu wojny, nie jest w stanie zrozumieć, że obowiązywały wtedy inne reguły zachowań. W tamtych czasach wyznaczniki moralne były różne od dzisiejszych. I to nie tylko dlatego, że cena ludzkiego życia była postrzegana inaczej. Była też straszna bieda, która dla dzisiejszego człowieka jest trudna do wyobrażenia.

KOMOROWSKI: Ubranie to była rzecz niezwykle cenna.

ROTFELD: Pamiętam ciała zabitych ludzi – przez Niemców, Rosjan, banderowców – wszystkie były bez butów! To co najwartościowsze, czego nie można było sobie w domu samemu wyprodukować – zabierano i to bez względu na rozmiar tych butów. Zawsze komuś się mogły przydać. Tak było w czasie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu.

RATKOWSKI: Pamięta Pan moment, w którym oddano Pana do klasztoru?

ROTFELD: Wszystko, co w moim życiu wydarzyło się istotnego – obojętnie, pozytywnego czy negatywnego – było w pewnym sensie sprawą przypadku. W tej sprawie przypadek polegał na tym, że do klasztoru oddano z mojej rodziny dzieci starsze. Nikomu do głowy nie przyszłoby wysłać trzypięcioletniego chłopca do klasztoru. Przebywały tam dzieci z reguły w wieku szkolnym – siedmioletnie i starsze. Kilku chłopców wysłanych z mojej dalszej rodziny nie odnalazło się w dość spartańskich warunkach. Ostatecznie po kilku dniach – było to na przełomie listopada-grudnia 1941 roku – woźnica z klasztoru odwiózł ich do naszego domu. Pamiętam: wszyscy byli zebrani w salonie – na parterze. Ojciec Daniel, który przy drzwiach wyjściowych żegnał się z moim ojcem, powiedział nagle: – A może pan mecenas odda swojego syna pod opiekę klasztoru? Zaczęło się gwałtowne poszukiwanie zimowych ubrań. Wsadzono mnie na wóz, który czekał na podwórzu. Na koźle obok woźnicy usiadł o. Daniel. Niezbyt wyraźnie przypominam sobie, jak zatrzymała nas na rogatkach miasta jakaś wachta, ale nie sprawdzali, kto leży pod burką w saniach.

I oto dwa lata temu pojechałem do Lwowa ze swoim przyjacielem – reżyserem Januszem Majewskim, który pisał scenariusz do filmu *Mała matura*, oparty własnym dzieciństwem. Namówiłem go, byśmy zaczęli o Uniów i Przemyślan. W klasztorze w Uniowie podejmował nas przeor, a z racji jakiejś uroczystości było tam wielu hierarchów i wiernych... Nagle podchodzi do mnie jakiś czerstwo wyglądający starszy pan i powiada: – Pan mnie zapewne nie pamięta. To było tak dawno. Miałem wtedy 15-16 lat. Byłem woźnicą i jechałem z Przemyślan do klasztoru z ojcem Danyłą...

RATKOWSKI: Jak rozumie, Pańska siostra została z ojcem?

ROTFELD: Tak. Ojciec na przełomie 1941 i 1942 roku doszedł do wniosku, że zbliża się totalna zagłada. Zorganizował z innymi osobami w lesie obóz przetrwania dla tych, którzy zdecydowali się z rodzinami wyjść z getta. W ten sposób uratowało się kilkanaście osób. Wśród nich znalazł się Kleinmann – jak sam o sobie

pisze – „ostatni klezmer z Galicji”. Wstąpił do wojska i został dyrygentem orkiestry i chóru Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego. Znany jest jako Leopold Kozłowski. W książce Jacka Cygana opartej na wspomnieniach Poldka znalazła się też wzmianka o moich rodzicach.

Moja siostra Alina, która po przyjeździe Rosjan wyszła z lasu w jednej sukience, zatrudniła się w miejscowej fabryce spirytusu. Miała 17 lat. Początkowo była pomocnicą laboranta, potem w wieczorowym technikum chemicznym zdobyła kwalifikacje i została laborantką. I to ona właśnie w jakimś momencie odnalazła mnie w klasztorze, powiedziała, co się wydarzyło, jakie jest moje prawdziwe nazwisko...

Siostra wyszła zamaż za księgowego z fabryki, sympatycznego człowieka, z pochodzenia Jakuta, st. sierżanta, który po powrocie z frontu otrzymał przydział do pracy we lwowskim zjednoczeniu produkcji spirytusu („Spiri-Trust”). Skierowano go do Przemyślan. Kontrola stwierdziła, że w fabryce są „przecieki” – spirytus wypływa. Aresztowali wtedy większość pracowników, którzy pełnili funkcje kierownicze. W tym księgowego. Choć to nie oni spirytus wynosili, a raczej ci, którzy mieli bezpośredni kontakt z produkcją. Inna rzecz, że obyczaj „wsadzania do kryminału” był w Kraju Rad dość powszechny. Pamiętam na przykład dyrektora szkoły, do której chodziłem. Nazywał się Petrenko. Skazano go na 25 lat na tej podstawie, że ktoś doniósł, jakoby był w ukraińskiej policji podczas niemieckiej okupacji. Do mnie dobrze się odnosił i jeszcze dziś widzę jego twarz...

Po aresztowaniu męża sytuacja mojej siostry, która właśnie wtedy urodziła dziecko stała się jeszcze trudniejsza. Miała krowę, którą – jak kilku innym pracownikom – pozwolono trzymać w przyfabrycznej stajni. Chodziłem tam codziennie. Po wydojeniu przynosiłem do domu garnek mleka. Pewnego razu zjawiłem się w fabryce latem, kiedy była przerwa w produkcji. Robotnicy czyścili ogromną, wysoką na dwa piętra cysternę po spirytusie wyrabianym z ziemniaków. Resztki spirytusu zostały na dnie. Robotnicy zaproponowali mi, żebym zszedł do cysterny po specjalnych schodkach i przyniósł trochę spirytusu w puszcze po rybnej konserwie. Zgodziłem się chętnie, byłem nawet dumny, że potraktowali mnie jak dorosłego. Zszedłem na dno, nabrałem spirytusu i wyniosłem na górę. W uznaniu za mój wyczyn zaproponowali, bym się z nimi napił. Podali mi jako zakąskę świeży ogórek z solą. Miałem wtedy 10 lat. Znowu potraktowali mnie jak mężczyznę. Do dziś pamiętam: szedłem do domu i pilnowałem, by garnka nie rozbić i mleka nie wylać. Ale wszystko się pod mną chwiało. Na schodach domu postawiłem garnek i straciłem przytomność. I tak raz na zawsze wyzbyłem się nadmiernego pociągu do mocnego alkoholu.

CHUDZIŃSKI: Może Pan napisać kolejną książkę. Tym razem pod tytułem *Jak zostałem abstynentem!*

ROTFELD: Abstynentem nie jestem, ale rzeczywiście za wódką nie przepadam. Niezależnie od zatrucia organizmu we wczesnym wieku, nabrałem niechęci do mocnych alkoholi ze względu na to, co się wokół mnie działo. Przekraczało to zdrowy rozsądek. Ludzie pili na umór. Inna rzecz, że zarobki były tak niskie, że pensja miesięczna starczała akurat na jeden bochenek chleba na czarnym rynku. Nas ratowała ta krowa. Mie-

liśmy też świniaka i hodowaliśmy króliki. Inni tego nie mieli – musieli kraść. I kradli.

RATKOWSKI: Ale w końcu siostra znalazła się w Polsce?

ROTFELD: Po Październiku 1956 roku była nowa fala repatriacji. To, że setki tysięcy Polaków mogło wtedy wrócić do Polski, było zasługą Gomułki i Rapackiego, którzy w tej sprawie postawili się i uzyskali zgodę Rosjan na wyjazd osób, które miały poczucie przynależności do narodu polskiego. W jednym z ostatnich pociągów wróciła w 1959 roku moja siostra z dziesięcioletnią już córką, Leną. Wcześniej musiałem wystać im zaproszenie. Byłem już wtedy na studiach. Miałem problem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Ostatecznie udało się znaleźć kobietę w Krakowie przy ul. Lea (wtedy Dzierżyńskiego). U tej pani Alina zamieszkała jako opiekunka. Potem dostała pracę w Krakowskiej Fabryce Aparatury Pomiarowej. Zmarła nagle na raka mózgu. Było to w sierpniu 1965 roku. Szykowała się do urlopu. Moja siostrzenica miała zainteresowania i zdolności artystyczne. Udało się dzięki życzliwości pani Haliny Kenarowej umieścić ją w Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem. Po maturze, która przypadła na czas marcowych wydarzeń, zdecydowała się wyjechać do Szwecji, gdzie skończyła studia plastyczne. Czuje się tam u siebie, ale podtrzymuje żywe kontakty z kenarowcami.

RATKOWSKI: W życiorysach dostępnych np. w internecie czytamy, że w 1951 roku upomniła się o Pana polska ambasada i doszło do repatriacji. Intryguje nas, jakie było tło tego wydarzenia, bo przecież za tym musiały stać jakieś osoby...

ROTFELD: Zaczniemy od tego, że w 1946 roku Rosjanie podjęli decyzję o likwidacji Cerkwi greckokatolickiej. W rok później nastąpiło rozwiązanie klasztoru. Dzieci były zimą 1947 roku przewiezione konnymi wozami do domu dziecka w Złoczowie. Po trzech dniach poczułem się nieswojo. Wszystko było inne od tego, do czego przywykłem. Zamiast modlitwy – rano i wieczór były capstrzyki, na których po rosyjsku śpiewano jakieś pieśni – z czasem uświadomiłem sobie, że był to hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej *Naprzód, młodzieży świata...* Cały ten świat jawił mi się jako absurdalny. Postanowiłem uciec. Przyłączyło się do mnie dwóch chłopców. We trójkę ze Złoczowa ruszyliśmy do oddalonego o 60 km Uniowa, do klasztoru. Nie miałem butów. Wziąłem na drogę kilka par kapci z materiału wołokowego, z którego wyciskano walonki. Odmroziłem sobie nogi, ale jakoś dobrnąłem na miejsce. Pamiętam pustą, zaśnieżoną drogę, po której co pewien czas przejeżdżały wojskowe ciężarówki. Wtedy chowaliśmy się do rowów. Byliśmy przekonani, że to pogoń za nami. Nikt nas jednak nie gonił i tylko przez całą tę drogę towarzyszył nam dźwięk „śpiewających” drgających na wietrze drutów telegraficznych. Jeszcze dziś mam w uszach tę melodię. W Uniowie zakonnicy przyjęli nas bardzo ciepło i serdecznie. Chodzili już w ubraniach cywilnych – klasztor był w stanie likwidacji. W rok później siostra zabrała mnie do Przemyślan. Dobiała końca 1948 rok. Wkrótce Alinę z mężem przenieśli do innej fabryki spirytusu, do Włodzimierzca na Wołyniu, gdzie po pewnym czasie dotarło do mnie pismo z polskiej ambasady. Wyjechałem w ramach akcji poszukiwania polskich dzieci zagubionych



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

po wojnie na dawnych polskich Kresach włączonych do ZSRR.

KOMOROWSKI: A kto poruszył ambasadę?

ROTFELD: Ambasadę powiadomiło mieszkające w Krakowie małżeństwo – dwoje przyjaciół mojej rodziny, państwo Ebnerowie, którzy wiedzieli, że na czas wojny zostałem umieszczony w klasztorze. Ludwik Ebner przed wojną był w Stryju znaczącą postacią. W ramach repatriacji powojennej trafił do Krakowa, znalazł pracę na AGH. Jego żona wspominała moją matkę i jakąś ich wspólną działalność charytatywną...

CHUDZIŃSKI: Pan znalazł się w Polsce wcześniej, w 1951 roku i trafił do Krakowa. Jak dziecko z sierocińca odnalazło się w krakowskim Liceum im. Augusta Witkowskiego?

ROTFELD: Repatriowane dzieci były kolejnymi transportami dowożone do Dusznik-Zdroju. Tam odbierały je rodziny. Z 3 tysięcy dzieci, które trafiły do Dusznik zostało czworo, po które nikt się nie zgłosił. Byłem jednym z tej czwórki.

Wcześniej nie miałem pojęcia, że Kraków w ogóle istnieje! Moje rodzinne Przemyślany były metropolią w stosunku do Włodzimierzca, gdzie ludzie chodzili w łapciach. Na Wołyniu bieda była jeszcze większa niż na Podolu. Do Lwowa pojechałem raz, na jeden dzień, z kierowcą z fabryki spirytusu. Miasto zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Do Krakowa dotarłem w lipcu. Po kilku dniach pojechaliśmy zbiorowo z Domu Dziecka przy ul. Augustańskiej Bocznej 1 do Zakopanego, do willi Modrzejów, gdzie też znajdował się Dom Dziecka, którego wychowankowie na lato jeździli do Krakowa. A my – do Zakopanego. Dla obu stron

była to atrakcja. Po powrocie z wakacji trafiłem z przydziału do V Liceum TPD im. Augusta Witkowskiego. Zresztą wtedy wszystko było z przydziału. Dyrektorem była pani Bronisława Berger, dobra matematyczka, ale niestety nie najlepszy pedagog. Po roku zdarzył się jakiś incydent. Uderzyła jednego z uczniów. Pamiętam, ukazał się wtedy na łamach „Dziennika Polskiego” felieton pt. *Krewki pedagog*, który stał się końcem jej dyrektorskiej kariery. Była dobrą nauczycielką matematyki, znalazła pracę w I Liceum im. Nowodworskiego, a na jej miejsce przyszedł Stanisław Potoczek, bardzo przyzwyczajony, sympatyczny i życzliwy dla ludzi pedagog.

KOMOROWSKI: To senatorska rodzina z Nowego Sącza.

ROTFELD: Dyrektor Potoczek miał ambicje teatralne. I choć Liceum Witkowskiego miało profil matematyczno-fizyczny, po krótkim czasie stworzył szkolny teatr, a do takiego antytalentu matematycznego jak ja odnosił się z wyrozumiałością i sympatią. W pierwszych tygodniach klasa mnie wyśmiewała, mówiłem źle po polsku. Pamiętam jak dziś, na lekcji historii opowiadałem o rozdrobnieniu dzielnicowym i w pewnej chwili, ku rozbawieniu kolegów powiedziałem, że Krzywousty podzielił Polskę między „królików”. Z kolei na lekcji fizyki padło pytanie, kto wynalazł radio. W sposób naturalny i zgodny z tym, czego mnie nauczono w radzieckiej szkole podstawowej stwierdziłem, że Popow. Na to pani profesor: – Popow, owszem, wymyślił skrzynkę do radia, ale samo radio – jednak Marconi!

Moją wychowawczynią była pani Maria Korosadowicz. Uczyła niemieckiego i geografii. Pewnego

razu poprosiła, żeby skontaktował się z nią mój wychowawca z Domu Dziecka. Był to czas, kiedy w naszym Domu Dziecka nastąpił dyrektor, który miał ambicje makarenkowskie. Jego żona była kierownikiem pedagogicznym, a młodszymi dziećmi zajmowali się starsi wychowankowie. Mój „opiekun” nazywał się Rudolf Żelazko. Byłem wtedy w ósmej klasie, a Rudolf – w dziesiątej. Kiedy pokazał się u pani Korosadowicz – była zaskoczona. Okazało się, że to jej uczeń, tyle że w Technikum Kinotechnicznym, gdzie też uczyła! Od tego czasu już nigdy nikogo w moich sprawach nie wzywała do szkoły.

W szkole po roku zostałem wybrany na przewodniczącego samorządu klasowego, potem awansowałem do samorządu szkolnego. W tamtych czasach było w szkole kilka organizacji, do których wszyscy należeli obowiązkowo: do Ligi Ochrony Przyrody, do PTTK, do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i oczywiście – do ZMP. Pewnego razu – był to marzec 1954 roku – delegowano mnie na dzielnicową konferencję sprawozdawczo-wyborczą. Zebranie było nudne i trwało do późnej nocy. Kiedy obliczano głosy, siedzieliśmy na schodach gdzieś do dwunastej czy pierwszej i każdy opowiadał jakieś dowcipy. Opowiedziałem coś tam durnego, ale politycznie ryzykownego. Ktoś natychmiast doniósł. Od razu na tej konferencji – w trybie nagłym – usunięto mnie z ZMP. Byłem na rok przed maturą, powstał poważny problem. Na szczęście moja klasa i dyrektor Potoczek stanęli za mną murem. Myślę, że nie bez wpływu dyrektora zostałem – jako jedyny ze szkoły – wydelegowany na uczestnika Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbywał się w Warszawie latem 1955 roku. Pojechałem do Warszawy. Co ważniejsze – ubiegałem się wtedy o przyjęcie na wyższą uczelnię i mogłem napisać, że byłem uczestnikiem ŚFMiS. Sprawa ZMP była w ten sposób zatarta.

CHUDZIŃSKI: Jak Pan sobie wybrał Szkołę Główną Służby Zagranicznej? Dostanie się tam nie było chyba proste?

ROTFELD: Właściwie tej uczelni sobie nie wybierałem. Pierwotnie chciałem dostać się na studia za granicą – w jednym z krajów demokracji ludowej. Wykombinowałem sobie, że skoro nie mam rodziny i żadnego zaplecza finansowego, to takie studia zapewnią mi pełne utrzymanie. Niestety, nie zostałem na te studia zakwalifikowany.

Wszystko to działo się jeszcze w trakcie roku szkolnego. Pewnego dnia wywołano mnie z klasy i zaproszono do gabinetu dyrektora. Okazało się, że przyjechała do naszego liceum dwójka asystentów ze Szkoły Główny Służby Zagranicznej, którzy poszukiwali kandydatów na Wydział Dyplomatyczno-Konsularny. Na rozmowę z nimi dyrektor Potoczek wytypował mnie. Byłem potwornie speszony i niepewny siebie, bo jedyne co z tej rozmowy w dyrektorskim gabinecie pamiętam, to tylko sporą dziurę w spodniach na kolanie. Starałem się ją ukryć zakładając nogę na nogę. Sądziłem, że dziura w moich spodniach będzie kompromitacją dla szkoły i dla mnie. Rozmowy nie pamiętam. Osoby z dyplomem Przodownika Pracy i Nauki przyjmowano bez egzaminu na wszystkie kierunki, w tym do SGSZ. Ja takiego dyplomu nie miałem. Stopnie na świadectwie miałem lepsze niż na to zasługiwałem, ale gorsze niż były potrzebne, aby uzyskać taki dyplom.

KOMOROWSKI: Czy to znaczy, że tacy ludzie jak Józef Klasa czy Biernacki dostali się tam z dyplomami przodowników?

ROTFELD: Nie wiem. Nie wykluczam, że mieli takie dyplomy. Byli ode mnie starsi i rozpoczynali studia wcześniej. Zapewne były wtedy inne zasady. Rozpoczynałem studia w czasach „odwilży”. Na uczelni obok normalnej młodzieży były osoby oddelegowane przez różne instytucje – partię, służby mundurowe, związki zawodowe czy ZMP. Miała to być szkoła kształcąca swego rodzaju nową elitę. Eufemistycznie powiem, że byłaby to elita *sui generis*, czyli swoista, swego rodzaju. Pamiętam, jak na egzaminie z historii siedzący obok mnie kandydat, o kilka lat starszy ode mnie, właśnie taki oddelegowany – pokazał mi wylosowane pytanie „Przyczyny wojny krymskiej”. Zacząłem pisać mu na karteczce: „Formalnie przyczyną wojny było żądanie Rosji skierowane do Turcji, a dotyczące zwrotu kluczów do stajenki betlejemskiej...”. Ciągu dalszego już napisać nie zdążyłem, ponieważ wezwano delikwenta do odpowiedzi, który na wstępie przeczytał tych kilka słów i na tym jego wypowiedź mogła się skończyć. Wtedy jeden z egzaminatorów, profesor Aleksy Deruga, historyk stosunków międzynarodowych zerknął do jego akt i dodał: – Tak towarzyszu, formalnie tak było, ale faktycznie chodziło o... – i dokończył za niego odpowiedź. Przypuszczam, że sam sobie wystawił ocenę pozytywną.

Byli w tej szkole ludzie bardzo różni. Moi przyjaciele Sławomir Dąbrowa, Jurek Nowak, Andrzej Towpik pochodzili ze zwykłych szkół, wielu było z rodzin nauczycielskich. Sławek Dąbrowa był właśnie takim „przodownikiem”, z nauczycielskiej rodziny, zawsze świetnie przygotowany. Po ukończeniu studiów razem stanęliśmy przed komisją egzaminacyjną, gdy ubiegaliśmy się o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wszystkie pytania były kierowane do Dąbrowy. Siedziałem trochę zdezorientowany, jak statysta. W pewnej chwili zadano Dąbrowie pytanie: „Jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Watykanu?” Sławek odpowiedział, że mają obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. Jeden z członków wieloosobowej komisji stwierdził, że to jest odpowiedź błędna i skierował to samo pytanie do mnie. Odpowiedziałem, że odpowiedź jest według mnie poprawna: mieszkańcy Watykanu mają obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. Wtedy dyrektor kadr MSZ – jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Puta – powiedział do mnie: – Po co wyście tu przyszli? Ubiegacie się o przyjęcie do MSZ, a nie umiecie odpowiedzieć na proste pytanie? To was dyskwalifikuje! Dąbrowa, który na egzaminie był moim konkurentem, spontanicznie zareagował: – Mój kolega odpowiedział tak samo jak ja! To nieco stropiło przewodniczącego, cała komisja poczuła się zażenowana powstałą sytuacją. Zaczęto zadawać mi inne pytania. Obaj z Dąbrową zdaliśmy celująco. Z tym, że jego przyjęto, mnie – nie.

CHUDZIŃSKI: Dlaczego akurat Pan miał zamkniętą drogę do kariery dyplomatycznej?

ROTFELD: Po Październiku w wyższych gremiach partyjnych przyjęto, jak sądzę, założenie, że w społeczeństwie jest zły odbiór ludzi „niewłaściwego pochodzenia” w MSZ i w innych resortach. Nie eliminowano wszystkich. Jeśli ktoś miał ojca ministra, wiceministra czy wysokiego funkcjonariusza partyjnego, to jakoś

te ograniczenia były omijane. Ja byłem człowiekiem znikąd.

Kiedy moi koledzy dostali zatrudnienie, zgłosiłem się do kierownika wydziału szkolenia w MSZ z pytaniem, czy wie, jaka jest moja sytuacja. Był to człowiek sympatyczny i przyzwoity. Pytam o co chodzi, a ten spojrzął na mnie jak na idiotę: – Liczyłem na to, że pan jest bardziej inteligentny. Dla pana pracy w MSZ nie ma.

Rozmowa odbywała się na czwartym piętrze. Zmartwiony schodziłem na parter. Spotkałem profesora Stefana Boratyńskiego, autora wydanej po Październiku pierwszej polskiej książki naukowej o dyplomacji wielkich mocarstw w okresie II wojny światowej. Zapytał mnie, czemu jestem taki ponury. Opowiedziałem, co przed chwilą usłyszałem i dodałem: – Właściwie nie wiem, co mam ze sobą zrobić. – Niech pan machnie ręką! Proszę się zgłosić do mnie na Warecką – do Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, coś dla pana znajdziemy. Na początku dostałem prace zleczone – robilem kwerendę przedwojennej „Warszawskiej Gazety Narodowej” (po zakazie zmieniła tytuł na „Warszawski Dziennik Narodowy”) i „Gazety Polskiej” – od listopada 1918 do września 1939 roku. Robiłem krótkie notki o artykułach dotyczących polityki międzynarodowej. Za każdą fiszkę dostawałem 14 złotych. To już było coś! Dzięki tej pracy poznałem polską politykę okresu międzywojennego lepiej niż gdybym przeczytał wiele mądrych książek. Czytałem te gazety zachłannie – od deski do deski. Otwierały mi oczy na inny – na zawsze zaginiony świat.

Wkrótce utworzyła się możliwość etatu. W Instytucie przepracowałem ponad 30 lat...

KOMOROWSKI: Jak wyglądały Pańskie sprawy mieszkaniowe w Warszawie? To wówczas był problem.

ROTFELD: Najpierw trzymałem się przez 2-3 miesiące akademika. Na dłuższą metę okazało się to niemożliwe. Potem jeden z profesorów wyjeżdżał na stypendium zagraniczne i pozwolił mi u siebie mieszkać nieodpłatnie. Był taki rok, kiedy sześciokrotnie zmieniałem mieszkanie – zawsze ktoś gdzieś wyjeżdżał i pojawiała się nowa szansa na czasowe rozwiązanie moich mieszkaniowych kłopotów. W końcu napisałem w tej sprawie list do prezydenta miasta stołecznego Warszawy, Janusza Zarzyckiego. Otrzymałem przydział kawalerki – 23 metry kwadratowe. Nie posiadałem się z radości. Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu...

Nie wiedziałem wówczas, że będę kiedykolwiek miał jeszcze z Zarzyckim kontakt. Zaczęło się od tego, że byłem współzałożycielem Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ w Polsce. Pod koniec studiów razem ze Sławkiem Dąbrową wzięliśmy udział w międzynarodowym konkursie na pracę dotyczącą ONZ. Pierwszej nagrody nie przyznano. Obaj dostaliśmy *ex aequo* nagrody drugie. Dla Sławka był to wyjazd na seminarium do Danii, dla mnie – do Pembrock Dock w Walii. Tak się złożyło, że w tym czasie otrzymałem list od pewnej pani z Wrocławia, która napisała mi, że mam daleką rodzinę w Londynie – profesora, który przed wojną wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Był to wybitny polski neurolog, założyciel Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Właśnie

wtedy, gdy otrzymałem zawiadomienie o nagrodzie – w „Tygodniku Powszechnym” ukazał o nim obszerny artykuł pt. *Polski neurolog rzeźbiarzem*.

Napisałem do niego list z pytaniem, czy przypadkiem wie coś o mojej rodzinie. Poprosiłem, aby niezależnie od tego, wie czy nie wie – odpowiedział, abym miał pewność, że mój list do niego dotarł. Po kilku tygodniach dostałem sympatyczną odpowiedź, która zaczynała się od słów: „Drogi Danielu! Mam na imię Kuba, skończyłem 73 lata i należę do pokolenia, które ma zwyczaj odpowiadać na listy niezależnie od tego, czy nadawca mnie specjalnie o to prosi...”. Napisał, że chętnie by się ze mną spotkał, gdyby losy sprowadziły mnie do Wielkiej Brytanii. Prosił, bym koniecznie do niego zadzwonił.

Po wylądowaniu na lotnisku Heathrow zadzwoniłem. Nikt nie odbierał telefonu. Po paru godzinach ponowiłem próbę. Odezwał się kobiecy głos z twardym niemieckim akcentem. Spytałem, czy pani mówi po niemiecku? Odpowiedziała, że tak, ale profesora nie ma. Jest konsultantem w dużym szpitalu w Walii. Wyraziłem żal i napisałem z Pembrock Dock kartkę. Umówiliśmy się, że wracając z seminarium zatrzymam się na stacji miasteczka, w którym był szpital. Mieliliśmy się spotkać na dworcu. Uzgodniliśmy, że będę trzymał w ręku polski tygodnik „Polityka”, a on będzie miał parasol i płaszcz przewieszony przez rękę. Wszystko jak w klasycznym filmie szpiegowskim. Na stacji okazało się, że jestem jedynym podróżnym, który tam wysiadł, a on jedynym witającym, który czekał na peronie! Po drodze do szpitala opowiedział mi, że pani, która odebrała telefon, to osoba w podeszłym wieku, emigrantka z Niemiec jeszcze z 1936 roku, która nigdy dobrze nie nauczyła się mówić po angielsku. – Zostawiam jej klucze, gdy wyjeżdżam, aby podlewała kwiatki. Po rozmowie z tobą zadzwoniła: – Był do pana telefon od kogoś młodego człowieka z Warszawy. Był zmartwiony, że pana nie ma, ale jak dowiedziałam się, że nazywa się Rotszyld, to pomyślałam, że choć z Warszawy, to na pewno da sobie radę!

Profesor polecił mi swojej siostrze – Gieni, która mieszkała z synem w Londynie. Zatrzymałem się u nich. Bruno wykładał na Wydziale Architektury i był w tym czasie naczelnym urbanistą Londynu. Nazywał się Schlaffenberg. Jego ojciec był przed wojną zawodowym oficerem i zginął w Starobielsku. Bruno razem z matką został wywieziony ze Lwowa do Azji Środkowej. Zgłosił się do armii Andersa. Po komisji lekarskiej powiedziano mu, że to nie jest armia żydowska, tylko polska! Za dużo Żydów się zgłasza... W tym momencie jakiś oficer zapytał: – Czy pan jest synem majora Schlaffenberga? Panowie, trzeba go przyjąć! – zdecydował. Trafił więc do wojska, był ciężko ranny pod Monte Cassino. Po wojnie Anglicy dali mu stypendium na studia. W ten sposób architekturę, którą zaczął we Lwowie, skończył w Rzymie. Poznał tam żonę, która przed wojną też studiowała architekturę, tyle że w Warszawie. Należała do Akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. Jej serdecznym przyjacielem w tych czasach był Janusz Zarzycki, późniejszy prezydent Warszawy...

Z Brunem, jego żoną Ireną i matką Eugenią utrzymywałem do ostatnich ich dni bliski i serdeczny kontakt. Matka Bruna była z domu Rothfeld, ale więzy

pokrewieństwa były na tyle dalekie, że – jak piszą historycy – ginęły w pomroce dziejów i zaprzestaliśmy ich ustalania.

CHUDZIŃSKI: A Pańska znajomość języków? Jest pan poliglotą!

ROTFELD: Nie przesadzałbym. Nie jestem. Co więcej – nie mam szczególnych uzdolnień językowych. Niektóre języki poznałem przez zbieg okoliczności. Podstawy rosyjskiego wyniosłem ze znajomości staro-cerkiewno-słowiańskiego, który poznałem w klasztorze. Niemieckiego uczyła mnie w szkole pani Maria Korosadowicz, a potem kontynuowałem naukę na studiach. Zaczęłem się nawet uczyć początków arabskiego, traktując to jako hobby, ale po paru miesiącach porzuciłem. Popełniłem błąd: nie uczyłem się wtedy angielskiego. Już w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ przekonałem się, że bez angielskiego w dzisiejszym świecie trudno się obracać. Nauczyłem się angielskiego na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Słuchałem wystąpień w oryginale i w symultanicznym tłumaczeniu, trochę się oswoiłem z językiem konferencyjnym. Kiedy znalazłem się w Sztokholmskim Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI), musiałem się posługiwać tym językiem na co dzień – był to jedyny język roboczy. W tym języku występowałem, prowadziłem wykłady, publikowałem. Dziś łatwiej mi mówić po angielsku niż po niemiecku.

Po ukraińsku swobodnie czytam, ale wywierała mi. Gdy zostałem osobistym przedstawicielem przewodniczącego KBWE do spraw rozwiązania konfliktu w Nadniedrze, odwiedzałem kolejno stolice, które były zainteresowane tym problemem. Byłem w Pradze, Bukareszcie, Moskwie. W Kijowie rozmawiałem z ówczesnym prezydentem Ukrainy, Leonidem Krawczukiem. Poprosił, abym w obecności prasy kilka początkowych zdań powiedział po ukraińsku. Dodał, że po wyjściu dziennikarzy możemy przejść na rosyjski. Obiecałem, że spróbuję, ale musi pan prezydent pamiętać, że mój ukraiński jest na poziomie zasobu słów niespełna 10-letniego chłopca. Ostatecznie robiłem wrażenie, że rozmawiamy po ukraińsku. Z językiem jest trochę tak, jak z pływaniem czy jazdą na rowerze: To, czego nauczymy się w dzieciństwie, dość szybko – po kilku dniach czy tygodniach – wraca. U mnie z rowerem jest jako tako, z pływaniem gorzej, bo w dzieciństwie nie nauczyłem się pływać.

CHUDZIŃSKI: Wróćmy do PISM-u. Spędził Pan tam wiele lat, ale nie możemy ominąć wydarzeń marca 1968 roku.

ROTFELD: O początkach swej pracy w Instytucie opowiedziałem. Trafiłem do PISM w rok po zwolnieniu z funkcji dyrektora wybitnego socjologa, prof. Juliana Hochfelda, przedwojennego działacza socjalistycznego. Na jego miejsce partia delegowała Ostapa Dłuskiego. Na miejsce prof. Remigiusza Bierzanka, który był naczelnym redaktorem miesięcznika „Sprawy Międzynarodowe” – mianowany został Adam Kruczkowski, syn pisarza Leona Kruczkowskiego. Znalaliśmy się z Adamem, ponieważ był pierwszym przewodniczącym Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Był ambitny, miał możnych protektorów. Robił karierę polityczną. Powierzył mi codzienne obowiązki związane z prowadzeniem pisma i redakcji wydawnictw PISM. Powołano też wówczas Komitet Koordyna-

cyjny Badań Niemcoznawczych. Zostałem sekretarzem KKBN, potem był Komitet Koordynacyjny Badań nad Bezpieczeństwem Europejskim, w którego skład wchodziły dyrektorzy instytutów z państw bloku wschodniego – ZSRR, NRD, Czechosłowacji i Polski. Adam był sekretarzem polskiej grupy. Wkrótce mnie przekazał również tę funkcję.

RATKOWSKI: I przyjął Pan rolę wielbłąda?

ROTFELD: Lubiłem to. Odpowiadała mi praca redaktora. Problem polegał na tym, że na studia i naukę po prostu nie starczało czasu. Miałem w końcu w Instytucie sześć różnych funkcji. Uczestniczyłem w seminariach doktoranckich prof. Stanisława E. Nahlika – najpierw w Toruniu, a potem w Krakowie – z zakresu prawa międzynarodowego. I wtedy nastąpił 1968 rok. Adam przystąpił do moczarskiej frakcji „młodoturków”. Znakiem rozpoznawczym tej frakcji była walka z „syjonizmem”. Już w kwietniu 1968 roku Adam został wiceministrem spraw zagranicznych. Zanim do tego doszło, bodaj 21 marca, odbyło się w PISM zebranie. W przeddzień Adam poprosił mnie do swego gabinetu i powiedział: – Toczy się w Polsce walka polityczna. Powinieneś zająć wyraźne stanowisko. Musisz się samookreślić. Nie możesz siedzieć okrzakiem na barykadzie. – Była to ówczesna frazeologia, w codziennym użyciu prasy, radia, TV. Zapytałem, o co mu chodzi. Odpowiedział: – Są ludzie, którzy sabotują politykę partii, prowadzą działalność rewizjonistyczną. Chciałbym, żebyś jutro wystąpił na zebraniu i ich potępił! – Kogo? – No, na przykład takiego Zygmunta Baumana, czy Leszka Kołakowskiego. – Mówię: – Znam te nazwiska, czytałem, ale tych ludzi osobiście nigdy nie spotkałem. Nie mogę nagle zacząć ich potępiać. – Na to Kruczkowski stwierdził: – Jak uważasz. Pamiętaj, uprzedziłem cię.

No i odbyło się zebranie. Wstawali pracownicy – jeden po drugim. Każdy coś tam potępił... Był na przykład w Instytucie wybitny znawca Bliskiego Wschodu dr Marek Thee. Na marginesie: z tym nazwiskiem Thee miał ciągle kłopoty, bo ludzie odbierali to jako jedną literę „T”. Pisał więc artykuły pod pseudonimem Marek Gdański. Przed wojną był młodzieżowym działaczem komunistycznym w Gdańsku. Został przez Niemców przymusowo wysiedlony do Palestyny. Po wojnie został polskim konsulem na Bliskim Wschodzie. Doprowadził do pierwszego tłumaczenia *Pana Tadeusza* na hebrajski. W dodatku wydał tom w wersji dwujęzycznej – po hebrajsku i po polsku z myślą o żołnierzach polskich, aby tam mieli kontakt z narodową epopeją. Jego współpracownicy skrytykowali na zebraniu to, że opublikował na łamach organu teoretycznego PZPR „Nowe Drogi” „syjonistyczny” artykuł pt. *Konflikt arabsko-izraelski*. Bez znaczenia było to, że Marek Thee był zdeklarowanym antysyjonistą, a jego poglądy były szeroko znane i na tyle wyraziste, że miał wielu przyjaciół wśród Arabów i wrogów w Izraelu. Wszystkie książki, które w Polsce opublikował, były antysyjonistyczne. Otóż na zebraniu w PISM podliczono mu, że w artykule w „Nowych Drogach” 13 razy użył słowa „wojna”, 10 razy „konflikt”, a tylko 9 razy słowa „agresja”. Słowa „wojna” i „konflikt” – wywodził jeden z mówców – mają charakter neutralny. Stąd oczywisty wniosek, że Thee unikał potępienia Izraela. Potępił go tylko w 30 procentach! Była też na tym zebraniu supozycja, że Thee nie jest prawdziwym Polakiem, bo ma żonę Czeszkę! Dodam, że osoby,

które tak gorliwie potępiały Marka na zebraniu – deklarowały w kontaktach z Thee swoje uznanie i podziw dla jego wiedzy i życiowej postawy...

RATKOWSKI: To nie był wtedy przypadek osobniony...

ROTFELD: Zebranie trwało wiele godzin, bodaj do 2. lub 3. nad ranem. Jedni potępiali, innych krytykowano i usuwano. Postanowiłem, że nie zabiorę głosu. Kiedy jednak zostałem wywołany, powiedziałem, że zajmuję się naukowo problemem samookreślenia narodów. Na ten temat przygotowywałem doktorat. W procesie samostanowienia – stwierdziłem – małe znaczenie mają werbalne deklaracje. Liczą się czyny i działalność. Jeśli naród chce uzyskać niepodległość, to wyraża swą wolę w sposób czynny. Marek Thee dowodził swojej lewicowości, kiedy go za to wsadzano przed wojną do więzienia. Nie liczył się z tym, że kiedykolwiek komuniści w Polsce obejmą władzę. To co słyszę i widzę, jest teatrem absurdu. Mówię to tylko dlatego, że muszę się codziennie golić i do końca życia nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym nie powiedział, co myślę. Sądzę, że wielu na tej sali myśli podobnie. Na zakończenie stwierdziłem, że nie czuję się najlepiej i muszę wyjść.

Na drugi dzień poprosiłem o urlop. Po kilku dniach zostałem zaproszony przez zastępcę dyrektora, który napisał sześć krótkich pism (wystukał je osobiście na maszynie, bo widać wstydził się dyktować je sekretarce), że zwalnia mnie ze wszystkich sześciu funkcji. Wyszedłem z gabinetu dyrektora załamany. W rozmowie, która poprzedziła wręczenie zwolnień, dowiedziałem się, że zostaję zwolniony za brak zaangażowania.

Koniec końców, paradoksalnie, efekt był pozytywny. Miałem teraz czas, by zająć się doktoratem. Współpracownikiem profesora Nahlika na UJ był Gwidon Rysiak, który w mojej sprawie okazał wiele bezinteresownej życzliwości. W ciągu pół roku ukończyłem pisanie pracy. Obroniłem doktorat na Wydziale Prawa UJ w Krakowie. Recenzentami byli profesorowie: Krzysztof Skubiszewski, Konstanty Grzybowski i Franciszek Ryszka. Wspólnie ze mną obronił wówczas pracę doktorską Andrzej Towpik i Halina Okularczyk, których monografie na podstawie rozprawy doktorskiej ukazały się drukiem. Obie zachowują wartość po dziś dzień – choć od czasu ich publikacji minęło ponad 40 lat. Wspominam o tym, ponieważ klimat i pewna etyka pracy naukowej, którą przenieśli z okresu międzywojennego profesorowie tej miary co Bierzanek, Nahlik i Ryszka nie pozostała bez wpływu na kształtowanie badaczy nowej generacji.

RATKOWSKI: Doktorat był jakby pewnego rodzaju podsumowaniem Pańskiej wizji świata opartej o ówczesne realia. Ten świat się teraz niestetycha nie zmienił.

ROTFELD: Mój doktorat zamykał pewien etap w moim życiu, ale nie był podsumowaniem wizji świata, w którym żyłem. Wszystko, o czym dotychczas mówiliśmy, to w gruncie rzeczy anegdota i drobiazgi. Teraz, jak rozumiem, chcą panowie, byśmy dotknęli rzeczy istotnych. Pyta pan o różnicę percepcji, oglądu rzeczywistości poprzez okno zastonięte czarną kotarą i okno otwarte na świat! To prawda, że świat okazał się inny niż myśleliśmy wcześniej. Nie „zupełnie odmienny”, ale „niezupełnie taki sam”.

Na szczęście moje studia przypadły na okres po Październiku. W Polsce dzisiaj wiele osób nie rozumie, jak bardzo Październik '56 zmienił postrzeganie świata. Minęły pokolenia. Październik zmienił nasze widzenie świata o tyle, że wtedy był w Polsce głód wiedzy – swego rodzaju „odłożony popyt na prawdę”. W związku z tym profesorowie i studenci łapczywie sięgali po rzeczy wartościowe, prawdziwe i w czasach stalinowskich zakazane i niedostępne. Dziś w księgarni szuka się wartościowych książek w ogromnym śmietniku rzeczy łatwo dostępnych. Wtedy tego śmietnika nie było. Wydawnictwo dostawało zgodę na wydanie książki Jean-Paula'a Sartre'a albo Ericha Fromma. Musiało usilnie o to zabiegać, ale wieść o takiej pozycji rozchodziła się natychmiast niezwykle szeroko. Biegło się do księgarni, wystawało w kolejkach, czytało z wypiekami... Ten, kto nie dostał, wypożyczał na 1-2 noce.

RATKOWSKI: Ale z drugiej strony dostępne były przecież pozycje, powiedzmy, „niecenzuralne”. Sam w Bibliotece UW odnalazłem, zresztą w katalogu Pańskiej Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, *Wydrożenie nacji Wynnyczenki*, którego radziecka encyklopedia określała jako burżuazyjnego nacjonalistę i politycznego awanturnika, i skazywała tym samym na nieistnienie!

ROTFELD: Owszem, były takie instytucje i księgozbiory, w których nagle można było odkryć „owoc zakazany”. Były jednak pewne ideologiczne filary, które wyznaczały granicę. Stanowiły one swoisty zbiór zasad myślenia. Jeśli ktoś przyjmował, że lewicowa postawa zakłada przyjęcie zasady determinizmu historycznego, to jej odrzucenie nie było proste i łatwe.

Nie bez kozery wspominałem o roli przypadku w moim życiu i w ogóle o przypadku w dziejach kraju czy świata. Uważam na przykład, że gdyby Michaił Gorbaczow nie został w 1985 r. sekretarzem generalnym KPZR, to system ten zapewne upadłby, ale o trzydzieści lat później i w sposób krwawy. Tak się nie stało i w tym wyraża się osobista, wielka zasługa Gorbaczowa jako postaci historycznej. Skądinąd uważam, że jest to człowiek dość ograniczony w sensie intelektualnym, który sądził, a nawet nadal tak sądzi, że system można było utrzymać, a Związek Radziecki zachować. A mimo to pięć lat jego rządów miało znaczenie dobroczynne. Jego siłą była słabość charakteru i brak zdecydowania. Wejdzcie na trwałe do historii, bo nie odważył się użyć siły dla utrzymania władzy.

Politykom, mężom stanu i intelektualistom bipolarny podział świata ogromnie ułatwiał rozumienie, wyjaśnianie i porządkowanie rzeczywistości. Było wiadomo, gdzie kapitalizm, gdzie socjalizm – gdzie czarne, a gdzie białe. Byli dwaj hegemoni – Waszyngton i Moskwa – z odpowiednimi instytucjami, które ułatwiały kontrolę nad światem. Każda informacja o spotkaniu radziecko-amerykańskim była wydarzeniem obserwowanym z zapartym tchem. Nikt nie wiedział, jakie będą tego efekty. Dziś, gdy się spotyka prezydent Obama z prezydentem Miedwiediewem, nie budzi to sensacji – mało kogo to interesuje. Jest to postrzegane jako jedno z wielu podobnych spotkań. W Rosji ten dychotomiczny obraz i sposób myślenia nadal się utrzymuje. Myślą tam, że jak się spotyka Miedwiediew i Obama, to zapadają wówczas ważne decyzje. Nie zapadają. Dlaczego? Bo Stany Zjednoczone

i Rosja nie są tymi samymi globalnymi mocarstwami, co przed laty. Rosja jest mocarstwem regionalnym z bronią jądrową. Stany też bardzo straciły na znaczeniu. Są nadal globalnym mocarstwem. Zachowują status „niezbędnego mocarstwa”, gdyż można sobie wyobrazić świat bez wpływu wielu innych mocarstw, ale bez Ameryki nie można...

RATKOWSKI: Co więcej, wszyscy mają wobec Ameryki wyraziste oczekiwania, jak na przykład w sprawie Libii. Zgłaszają pretensje, gdy USA się angażują i jeszcze większe, gdy się nie chcą angażować!

ROTFELD: W Rosji sytuacja jest jeszcze bardziej złożona. Nie dość, że nie ma już ZSRR, to jeszcze pozycja Rosji się radykalnie zmieniła. Wielu wpływowych Rosjan nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wiedzą i nie chcą tego wiedzieć. Są oczywiście w rosyjskich elitach ludzie, którzy sobie z tego zdają sprawę i wywierają nacisk na Putina i Miedwiediewa, by przynajmniej „między nami” mówiło się prawdę i podejmowało decyzje nie na podstawie pobożnych życzeń, ale realiów. Ale to nie wystarcza. Wielu ludzi w Rosji uważa, że ZSRR był inna formuła istnienia imperium Romanowów, a dzisiejsza sytuacja – to inna forma kontynuacji ZSRR. Tak nie jest. Zdaniem „wiecznie wczorajszych” celem Rosji powinno być przywrócenie jej dawnej pozycji. Jednak żadne państwo nie odzyskało pozycji w wyniku deklaracji. Językiem polityki jest działanie oraz potencjały innowacyjny, gospodarczy, technologiczny i wojskowy. Jest niezliczona liczba czynników, które decydują o tym, czy państwo ma znaczenie i jaką rolę odgrywa na arenie międzynarodowej. Rosja ma nadal znaczenie z trzech różnych powodów: ze względu na broń jądrową, choć ta broń jest dziś mniej istotna, bo mało użyteczna; po drugie, ma największe zasoby ropy i gazu na świecie, co paradoksalnie poważnie hamuje jej rozwój – bo nie wymusza głębokich i prawdziwych reform; w efekcie Rosja staje się zapleczem surowcowym dla znacznej części świata. Po trzecie wreszcie, Rosja ma olbrzymie terytorium, które staje się teraz wartością samą w sobie – z uwagi na przeludnienie świata. Ma też największe zasoby wody pitnej i wielu innych surowców i minerałów. Największe słabości Rosji to demografia – zmniejszająca się gwałtownie liczba ludności – strukturalne zacofanie i anachroniczny sposób zarządzania.

RATKOWSKI: Miliony Chińczyków już z tego wyciągają konsekwencje!

ROTFELD: Ale w Rosji uważa się, że oto wyłania się nowa grupa państw, które będą światem rządzić: Brazylia, Rosja, Indie, Chiny (BRIC), a ostatnio dołączyła Afryka Południowa. Powiem wyraźnie – zanim ta grupa ukształtowała się, już przestała mieć znaczenie i odgrywać rolę. Państwa te poszukują swej roli i miejsca. Dziś większą rolę odgrywa w świecie Turcja, która do grupy BRIC nie jest zaliczana.

CHUDZIŃSKI: I wiedzę o tym zdobywał Pan niejako namacalnie, bezpośrednio, bo w latach 1974-1980 uczestniczył w pracy takiej międzynarodowej instytucji jak KBWE, a potem w Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI) w Sztokholmie, którym kierował Pan przeszło dziesięć lat.

ROTFELD: Mój kontakt z tym światem prawdziwym, a nie książkowym, zaczął się dosyć późno.

Większość moich kolegów robiła po studiach kariery dyplomatyczne lub w handlu zagranicznym. Wtedy zajmowałem się głównie redagowaniem, pisaniem, wydawaniem książek, a niekiedy przekładami dokumentów. Tak się złożyło, że byłem bodaj pierwszym, który przetłumaczył dokumenty z posiedzeń Wielkiej Trójki w Teheranie, Jałcie i Poczdamie na język polski. Rosjanie opublikowali swoją wersję protokołów w odpowiedzi na amerykańską dokumentację. Każda delegacja prowadziła własne zapiski. Poznanie – z rosyjskiej perspektywy – przebiegu tych spotkań miało swoją wartość.

Rosyjskim partnerem „Spraw Międzynarodowych” był periodyk „Międzynarodnaja Żyzn”, nieoficjalny organ radzieckiego MSZ. Naczelnym redaktorem tego miesięcznika formalnie był Andriej Gromyko, który w tym piśmie występował pod pseudonimem A. Sowietow, natomiast jego zastępcą, w istocie faktycznym redaktorem naczelnym był dwumetrowy książę z Osetii Szałwa Parsadanowicz Sanakojew. Zapalił się do mojego pomysłu, by uzyskać zgodę MSZ na publikację archiwalnych dokumentów i przesyłać je nam do tłumaczenia i równoległej publikacji protokołów z kolejnych posiedzeń konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Dzięki temu uzyskałem wgląd w to, jak toczyły się rokowania Wielkiej Trójki. Oczywiście była to rosyjska perspektywa – to, jak oni rozumieli i na żywo notowali wypowiedzi szefów trzech mocarstw.

W Instytucie Spraw Międzynarodowych znalazło zatrudnienie wiele osób, które z różnych powodów nie były akceptowane przez MSZ. Współpracował z PISM-em na przykład Stanisław Zabięto, przed wojną naczelnik Wydziału Wschodniego w MSZ, przez pewien czas był też radcą ambasady polskiej w Moskwie. Nie ominęły go w 1948 roku stalinowskie represje – był na krótko aresztowany, a po Październiku podjął współpracę z Instytutem. Wydał w tych latach ważną książkę pt. *Sprawa polska w czasie II wojny światowej w pamiętnikach i wspomnieniach*. W latach 60. namówił me go, aby recenzował kolejne tomy zbioru *Sowietskaja wnieszniaja politika (Radziecka polityka zagraniczna). Dokumenty*. Teksty dotyczyły okresu międzywojennego. Zabięto z bliska tę politykę śledził. Jego recenzje były regularnie publikowane na łamach „Spraw Międzynarodowych” i choć minęło już 50 lat, nadal warte są lektury. Był to czas, kiedy nie miałem żadnego kontaktu z praktyką. Po roku 1968 nie mogłem również pełnić w PISM funkcji decyzyjnych ani redakcyjnych. Byłem zadowolony, że mogę w ogóle pracować. Znalazłem się na marginesie, ale miałem nieporównanie więcej czasu dla siebie. W pewnym momencie zastanawiałem się nad zmianą zawodu.

KOMOROWSKI: Jak to było możliwe? Przecież zaczęła się kolejna odnowa...

ROTFELD: Pewnego razu, w 1973 roku wezwał mnie na rozmowę wiceminister spraw zagranicznych Jan Bisztyga. Byłem zaskoczony, bo od kilku lat nikt z pełniących funkcje kierownicze ze mną nie rozmawiał. Minister zapytał, czy mógłbym sporządzić ekspertyzę na temat perspektyw Polski po zapoczątkowaniu polityki otwarcia na Zachód, czyli po dojściu Gierka do władzy. Pytanie brzmiało: co Polska zyska na polityce otwarcia wobec Zachodu, a co straci? Powiedziałem, że mam istotne wątpliwości, czy sprostałbym tak

sformułowanemu zadaniu. Nie wyczuwam już tego, co się w polityce dzieje, nie uczestniczę w żadnych poważnych dyskusjach, nie jestem dopuszczany nawet na odczyty zagranicznych gości, którzy regularnie przyjeżdżali do PISM. Jestem w sytuacji krytyka muzycznego, który ma pisać recenzje z koncertów, na których nie może być. Przez pewien czas jeszcze w jego uszach brzmiała muzyka słyszana wcześniej. Ale minęły lata i już nie jestem w stanie złapać tonu tej muzyki. – Umówmy się – powiedział Bisztyga – ja wyjaśnię pańską sprawę, a pan przygotuje rzetelną ocenę i prognozę. To musi być jednak napisane naprawdę uczciwie.

CHUDZIŃSKI: Pojawiło się zapotrzebowanie na prawdę...

ROTFELD: Zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej ci, którzy codziennie muszą podejmować decyzje, nie mają czasu na własne przemyślenia ani szansy na bezstronne spojrzenie całościowe. Wziąłem kartkę A4, położyłem w poziomie, podzieliłem na pół, wytypowałem dziesięć problemów wewnętrznych i zewnętrznych, z jakimi Polska jest konfrontowana. Przy każdej sprawie wypunktowałem pozytyw i negatyw. Na przykład polityka otwarcia wobec Niemiec: ponawiany był wówczas postulat, by Polska wyraziła zgodę na wyjazdy do RFN osób, które poczuwają się do przynależności do narodu niemieckiego. Pozytywna odpowiedź byłaby świadectwem respektowania praw człowieka i przejawem polityki liberalizmu. Równocześnie trzeba liczyć się z faktem, że gotowość do wyjazdu zadeklaruje wiele osób ze względów ekonomicznych – osób o najwyższych kwalifikacjach. Warto zatem zastanowić się, czy nie dojrzał czas, by nie zmuszać ludzi do wyrzekania się polskości za cenę zgody na wyjazd i zdecydować się na szersze otwarcie – przecież wszyscy z kraju nie wyjadą. Inny przykład: Polska jest krajem tranzytowym. Stwarza to możliwość czerpania określonych zysków za tranzyt, ale wymaga też wielkich nakładów inwestycyjnych w infrastrukturę – drogi kolejowe i trasy dla szybkiego transportu kołowego. Przede wszystkim wymaga odejścia od fikcyjnych niskich opłat pobieranych od naszych sojuszników.

RATKOWSKI: Co się wyjaśniło w Pana sprawie?

ROTFELD: Po dwóch tygodniach pojawiłem się u Bisztygi z tym materiałem. Wyjaśniał moją sprawę: – Są na pana donosy, ale tego jest dużo na każdego. Na mnie też. Najgorsze jest jednak to – a są to dwie zgodne relacje – że pan obraził naszych funkcjonariuszy na służbie! Rozmawiali z panem ludzie z MSW, a pan nie tylko odmówił wszelkiej współpracy, ale porównał Polskę do obozu koncentracyjnego, a funkcjonariuszy naszych służb do strażników w tym obozie.

Spojrzałem na niego zdumiony: – Czy pan uważa mnie za człowieka inteligentnego? Czy sądzi pan, że gdybym tak myślał, to znalazłbym sobie powierników w pracownikach MSW? W tym momencie uświadomiłem sobie, jak mogły powstać takie raporty. Przed siedmiu laty namawiali mnie do współpracy, a ja na różne sposoby próbowałem wyjaśnić, dlaczego do takiej współpracy się nie nadaję – nie mam psychicznych predyspozycji. Powiedziałem wówczas: – Gdybym chciał obrać sobie taką drogę życiową, to zgłosiłbym się sam. Rozwiązałoby to moje problemy mieszkaniowe. Ale to nie wchodziło i nie wchodzi w rachubę.

Powiedziałem, że rozumiem potrzeby państwa; każdy kraj potrzebuje policji, strażników w więzieniach i służb specjalnych. Nie nadaję się do żadnej z tych kategorii. Jest to wykluczone. Na to oni: – My od pana niczego nie oczekujemy. Oceniamy, że jest pan osobą, która do czegoś w życiu dojdzie i pańscy koledzy, znajomi czy przyjaciele za granicą też do czegoś dojdą. Za 15, 20 lat się odezwiemy, bo niewykluczone, że taki kontakt może być dla Polski pożyteczny.

CHUDZIŃSKI: Nie pomylili się co do Pana przyszłości...

ROTFELD: – Nie mam żadnych przyjaciół za granicą – powiedziałem. Na to oni otworzyli teczkę i pokazali mi fotokopie życzeń na Nowy Rok i Wielkanoc, które otrzymałem z zagranicy. Zachnąłem się: – Panowie, jeśli wy czytacie cudzą korespondencję, to nie mamy o czym rozmawiać! Wstałem od stolika. Podszedłem do kelnera, zapłaciłem za swoją herbatę i wyszedłem. Wiceminister wysłuchał tego i powiedział, że zrobi ze swej strony, co się da...

KOMOROWSKI: I co załatwił?

ROTFELD: Tak się złożyło, że rok wcześniej zdjęto Józefa Cyrankiewicza z funkcji przewodniczącego Rady Państwa i powierzono mu dekoracyjną funkcję przewodniczącego Polskiego Komitetu Pokoju. Jego współpracowniczką w tym Komitecie, pani Elżbieta Kolankowska poprosiła mnie o napisanie projektu pierwszego przemówienia dla Cyrankiewicza w nowej roli. Po namowach zgodziłem się. Była to dla mnie okazja, aby poznać osobę ze szczytów władzy i zapytać, jak to się stało, że on – przedwojenny działacz socjalistyczny – pełnił najwyższe godności w czasie stalinowskim. Po kilku dniach wręczyłem mu tekst przemówienia, z którego zresztą nie skorzystał. Spytał mnie potem, jak mi się jego własne przemówienie podobało. Odpowiedziałem, że jeszcze raz dowiódł, że jest znakomitym mówcą. On na to: – Pańskie było lepsze, ale gdybym je wygłosił, to na osobach, które siedziały w pierwszym rzędzie – a był tam Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz i Henryk Jabłoński – mogło wywołać wrażenie, że „Cyrankiewicz jeszcze nie zrezygnował. Chce pokazać, że nie powiedział ostatniego słowa”. Tymczasem moje życie polityczne się zakończyło, chcę mieć nadal dostęp do Biuletynu Specjalnego i paszport dyplomatyczny oraz możliwość wyjazdów. – Wkrótce Cyrankiewicz wstawił moje nazwisko w skład delegacji, która miała wyjechać do Moskwy na Kongres Budowniczych Pokoju. Był to listopad 1973 roku. Polska delegacja liczyła około 400 osób. Kongres zgromadził blisko 5 tysięcy delegatów. Była czołówka ówczesnych publicystów: Rakowski, Wojna, Górnicki, Stefanowicz... Dostałem wtedy paszport ważny na 5 dni – tylko do ZSRR – z prawem jednorazowego wyjazdu. Jak gdyby w obawie, że mógłbym tam zostać...

RATKOWSKI: Na jednym wyjeździe chyba się nie skończyło...

ROTFELD: Niedługo potem zostałem włączony do delegacji na rokowania w Genewie, których zadaniem było uzgodnienie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Konferencja opierała się w swej pracy na tzw. Błękitnej Księdze (Blue-Book) przyjętej przez ministrów spraw zagranicznych w Helsinkach. Mandat obejmował praktycznie wszystkie obszary życia – politykę i gospodarkę,

sprawy wojskowe i kulturę. Najwięcej uwagi państwa przywiązywały do wynegocjowania zasad, którymi będą się kierować we wzajemnych stosunkach. Wśród tych zasad i norm kluczowe i nowe były postulaty dotyczące swobód indywidualnych, w tym kontakty między ludźmi, informacja, kultura i oświata. Wszystkie sprawy podzielono na kilka rozdziałów. Nazwano je „koszykami”. Najwięcej kontrowersji było wokół „przepływu ludzi, informacji, idei” („koszyk trzeci”). Zajmowałem się tą właśnie problematyką. W tej mierze nikt wtedy nie miał doświadczenia, nie było ekspertów. Były to sprawy zupełnie nowe – jako przedmiot negocjacji.

Na początku lat 60. – jeszcze w czasach Rapackiego – wspólnie z kolegami w PISM (Andrzejem Towpikiem i Włodzimierzem Wieczorkiem) przygotowaliśmy raport na temat bezpieczeństwa europejskiego. Opracowań takich było dużo więcej. Rosjanie w 1954 roku – po śmierci Stalina – wysunęli koncepcję zwołania Konferencji Bezpieczeństwa w Europie. Była to próba zablokowania wejścia RFN do NATO. Francja wysunęła wtedy projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej, którą zresztą francuski parlament odrzucił. Niemcy zostały przyjęte do NATO. W odpowiedzi 14 maja 1955 roku powołano Układ Warszawski.

W naszej ekspertyzie dla Rapackiego sugerowaliśmy, by nawiązać do starej koncepcji z 1954 roku i zaproponować zwołanie innej konferencji, która mogłaby zapoczątkować proces porządkowania europejskich spraw. W 1964 roku Adam Rapacki wystąpił w ONZ. Poparł radziecką propozycję zwołania europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy i dodał: – Oczywiście z udziałem Stanów Zjednoczonych i ZSRR. To krótkie sformułowanie oznaczało, że Polska opowiada się za udziałem Stanów Zjednoczonych w rozwiązywaniu problemów europejskich. Rosjanie początkowo chcieli, by konferencja była bez Amerykanów. Rapacki natomiast powiedział oficjalnie, że pozycja USA jest w Europie równoprawna do tej, jaką ma ZSRR. Po dłuższym czasie, już po normalizacji stosunków ZSRR i Polski z Niemcami Zachodnimi, droga do ogólnoeuropejskiej konferencji została otwarta. Śledziłem ten proces z pozycji analityka. Miałem świadomość, że „sprawa niemiecka” będzie mogła być rozwiązana w ramach procesu europejskiego.

CHUDZIŃSKI: No i wreszcie mógł Pan konfrontować swoje wyobrażenia z realiami.

ROTFELD: Moje pierwsze dyplomatyczne doświadczenie było dość szokujące. Przed wejściem na salę obrad, gdzie miało być kolejne posiedzenie dotyczące „trzeciego koszyka”, była przy oknie wnęka ze stolikiem – tam zorganizowano *ad hoc* wewnętrzne konsultacje delegacji państw Układu Warszawskiego. ZSRR reprezentowali Supagin (był równocześnie dyrektorem generalnym bodaj GosKoncerta) i Możajew (pracował w UNESCO). Poinformowali, że Polska zgłosi dziś propozycję dotyczącą kontaktów międzyludzkich. Wręczyli mi tzw. *non-paper* – cztery linijki napisane po rosyjsku jako propozycję, którą miałbym zgłosić wspólnie z Bułgarami. Nikt nigdy mi nie powiedział, jak przebiegają takie wielostronne konsultacje. Miałem jednak świadomość, że jeśli się zgodzę na taką rolę, będzie to precedens. Popatrzyłem na otrzymaną

kartkę i powiedziałem: – Propozycja interesująca, ale nie mogę jej zgłosić bez zgody Warszawy. Do zgłoszenia jakichkolwiek tekstów muszę mieć odpowiednią instrukcję.

– Jaką instrukcję? – Powtórzyłem: – Nie mam prawa zgłaszać żadnych propozycji bez zgody Warszawy. – A kiedy ta zgoda będzie? – Jest poniedziałek. Wcześniej niż do końca tygodnia nie otrzymam odpowiedzi. – Na to Supagin: – W takim razie zgłosi projekt Bułgaria, bo propozycja miała być polsko-bułgarska. – O tym, że dostałem od was taką propozycję, też muszę poinformować Warszawę. Zrobiłem siedem kopii i rozdałem wszystkim uczestnikom spotkania. Przedtem kartkę widzieli tylko Rosjanie i ja. W tym momencie zobaczyłem w oczach Rumuna wsparcie, Węgier patrzył z życzliwym zainteresowaniem, a Niemiec z NRD, Bułgarzy i Czesi demonstrowali dezaprobatę.

KOMOROWSKI: Stawiał Pan w dyplomacji pierwsze kroki...

ROTFELD: Pomyślałem wtedy: niedługo trwała ta moja dyplomatyczna kariera. A tyle osób angażowało się w to, abym mógł wyjechać... Wszedłem na salę. Usiadłem na miejscu z napisem „Pologne”. Po chwili podszedł do mnie młody asystent z radzieckiej delegacji z informacją, że szef delegacji Anatolij Kowalow, wiceminister spraw zagranicznych uważa, że należy poczekać na decyzję Warszawy. Taki był początek...

Następnego dnia dowiedziałem się, że z upoważnienia grupy NATO problemami kontaktów między ludźmi zajmuje się przedstawiciel Wielkiej Brytanii, Michael Alexander. Umówiliśmy się na lunch w podgenewskiej wiosce, po drodze na lotnisko. Alexander spytał: – Masz jakąś propozycję? Odpowiadam: – Nie mam, ale Rosjanie mają. – Pokazałem mu Spojrzał na kartkę i zaczął się śmiać. Też się uśmiechnąłem i zaproponowałem: – Napiszmy razem krótki tekst. Jeśli będzie to propozycja polsko-brytyjska, nikt nie będzie oponować, bo uznają, że zostało to uzgodnione na najwyższym szczeblu. Przygotowaliśmy taki tekst – niecałe trzy wiersze. Dostałem zgodę szefa delegacji i Warszawy. Był do przyjęcia dla wszystkich, Były to pierwsze trzy wiersze uzgodnione w ramach Aktu Końcowego KBWE!

Tak się zaczęła moja praca negocjatora. Gdybym był zawodowym dyplomata, zapewne tak nie zachowałbym się. Wiedziałbym, jaki jest tryb i procedury postępowania w takich sytuacjach.

Ciąg dalszy tej historii był następujący. Wiele lat później, kiedy już byłem dyrektorem Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), moja amerykańska sekretarka zasygnalizowała, że dzwonił Alexander. Wkrótce przyszedł e-mail. Nadawca przypomniał, żeśmy się przed laty spotkali w Genewie. Michael został ambasadorem Wielkiej Brytanii w Moskwie i przy ONZ. Królowa nadała mu tytuł szlachecki. Sir Alexander informował, że pisze książkę poświęconą KBWE i chciałby, abyśmy napisali ją wspólnie. Z braku czasu nie przystałem na ten pomysł. Po jego śmierci, przed dwoma laty zadzwonił Richard Davy, kiedyś naczelny redaktor dziennika „Times”. Powiedział, że Alexander w testamencie jemu powierzył zadanie, by skończył tę książkę, a gdy będzie miał wątpliwości, to sugerował, by się kontaktował ze mną...



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

CHUDZIŃSKI: I tu nasuwa się ważne pytanie: jaki był w istocie zakres zwasalizowania Polski w sferze polityki zagranicznej?

ROTFELD: Odpowiedzią na to pytanie jest mój rozdział w książce pt. *European Détente: A Reappraisal*, która ukazała się pod auspicjami Chatham House – Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Londynie w 1992 roku. Jej redaktorem był wspomniany Richard Davy. Chciał, żebym napisał, jak lata odprężenia w polityce międzynarodowej wyglądały z polskiego punktu widzenia. Podjąłem próbę takiej analizy i oceny, która miała dać odpowiedź na pytanie: Polska była krajem suwerennym czy niesuwerennym, o ograniczonej suwerenności czy totalnie satelickim? Doszedłem do wniosku, że w zależności od okresu historycznego Polska prowadziła zróżnicowaną politykę zagraniczną. W pierwszym okresie Rosjanie narzucili nie tylko ustrój, ale także własną ekipę, która tę politykę realizowała. Na ten temat napisano tomy.

Polecam dwie prace wydane w Moskwie. Przed kilkoma tygodniami ukazała się książka wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia „Memoriał” Nikity Pietrowa pt. *Według scenariusza Stalina. Rola organów NKWD – MBP ZSRR w sowietyzacji państw Europy Środkowej i Wschodniej 1945-1953* (Moskwa 2011). Jak w żadnej innej monografii uzyskaliśmy dzięki autorowi udokumentowany wgląd, jak służby specjalne Berii kształtowały nowe państwo całkowicie zależne od Moskwy. Inną bezcenną publikacją w tym względzie jest zbiór dokumentów pt. *ZSRR – Polska. Mechanizmy podpo-*

rządkowania 1944-1949 (SSSR – Polska. Mechanizmy podczinienia), która ukazała się w Moskwie w połowie lat 90. (1995).

W latach 1944/45 całkowicie arbitralnie i na zasadzie ręcznego sterowania, terroru i strachu odbywało się kształtowanie państwa wasalnego. W tym pierwszym etapie Stalin nie miał jeszcze ostatecznie wykrystalizowanej koncepcji, jak będzie wyglądała zależność państw satelickich od Rosji. Co więcej, po roku czy dwóch okazało się, że w obozie władzy pojawiły się różne frakcje, a Gomułka miał ambicje pójścia „polską drogą do socjalizmu”. Zaangażował się też jako wicepremier w integrację ziem zachodnich i północnych. Często nie zdajemy sobie sprawy, że – niezależnie od swego charakteru autokraty i niezrozumienia czasów, potrzeb i wyzwań, przed jakimi stała Polska po wojnie – wniósł ważny wkład w umocnienie polskiej granicy zachodniej. Na temat granicy wschodniej w ogóle nie było dyskusji. W głównym zarysie została ona wytyczona w Pakcie Mołotow-Ribbentrop i po inwazji radzieckiej 17 września 1939 roku. Natomiast ziem zachodnich Polska nie otrzymałaby bez woli Stalina, który nie tyle chciał silnej Polski, co dążył do osłabienia Niemiec powojennych. Gdyby Polska – choćby najbardziej demokratyczna – była wówczas częścią „Zachodu”, to Anglia i USA nigdy nie zgodziłyby się na oderwanie od Niemiec tak dużej części terytorium. Zachód chciał Niemcy wzmacniać. Jego przywódcy uważali, że w sposób nieuchronny zbliża się konfrontacja i starcie ze Związkiem Radzieckim. Churchill i Truman

do końca starali się storpedować wstępną formułę z sierpnia 1944 roku co do przebiegu naszej granicy zachodniej. Racje polityczne i sprawiedliwość były po naszej stronie. Cena tego nabytku terytorialnego była ogromna.

RATKOWSKI: Ale była to cena i tak już zapłacono w ogromnej części!

ROTFELD: Była to cena krwi i utraty ziem na wschodzie. Zaslugi Gomułki w tym względzie nie są dziś należycie docenione. Jako wicepremier do spraw zagospodarowania „Ziem Odzyskanych” miał odwagę bronić przed Rosjanami gospodarki i wywożonego mienia, a zarazem tworzył warunki do zasiedlenia tych ziem przez Polaków. W późniejszych latach, gdy dowiedział się, że Rosjanie w tajemnicy rozmawiają z Niemcami i że toczy się niejawną dialog, do którego prowadzenia Chruszczow oddelegował swego zięcia, a zarazem naczelnego redaktora „Izwiestij” – Adzubeja – Gomułka doszedł do wniosku, że szykuje się nowe Rapallo! Oczywiście nowe Rapallo nie było możliwe, ale Gomułka uważał, że zbliżenie niemiecko-rosyjskie odbędzie się polskim kosztem. Gdy dowiedział się, że Egon Bahr pojechał do Moskwy z poufną misją zawarcia porozumienia *O wyrzeczeniu się użycia siły*, a tylko jeden z 10 punktów jego planu miał dotyczyć potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie – to postanowił działać. 17 maja 1969 roku wygłosił w Warszawie pamiętne przemówienie, w którym wyraził gotowość rozmów z RFN bez warunków wstępnych.

Cyrankiewicz mówił o Gomułce, że to „siermiężny Piłsudski”. Opowiadał mi, że spytał Gomułkę tego dnia rano, czy kontaktował się z Rosjanami. Nieco zacietrzewiony Gomułka – według Cyrankiewicza – zareagował gwałtownie: – A oni się ze mną kontaktowali, kiedy negocjowali z Bahrem? – Ostatecznie Gomułka i Cyrankiewicz skorzystali z pośrednictwa Michała Hofmana, redaktora naczelnego Polskiej Agencji Prasowej, który przesłał tekst Gomułki do agencji TASS z prośbą, by przekazali dalej. Formalnie rzecz biorąc, Rosjanie otrzymali tekst „przed jego wygłoszeniem”.

Gomułka nie chciał, aby polityczną i prawną podstawą granicy było porozumienie Niemiec z Rosją, a nie z Polską. Przemówienie na Żeraniu było punktem wyjścia do negocjacji polsko-niemieckich, które skończyły się praktycznie w lipcu 1970 roku. Teraz z kolei Gomułka wykazał pewną powściągliwość i mądrość polityczną. Uznał, że Polska nie powinna zawierać porozumienia przed Rosjanami. Ostatecznie Rosja podpisała swój układ 12 sierpnia, a Polska – po uzgodnieniu jeszcze kilku towarzyszących dokumentów – podpisała układ 7 grudnia 1970 roku. Paradoks czy też grymas historii sprawił, że największy życiowy sukces Gomułki zbiegł się z jego upadkiem. Człowiek, który jesienią 1956 roku miał poparcie całego narodu – odchodził w niestawie w tydzień po podpisaniu Układu. Przyczyną nie była polityka zagraniczna, ale sytuacja wewnętrzna w kraju.

CHUDZIŃSKI: To dowodzi, że w polityce zagranicznej pole manewru było raz większe, raz mniejsze.

ROTFELD: Zależność od Rosji była wieloraka na różnych etapach powojennej historii: całkowita w pierwszych dwóch latach, ale mniejsza w latach 1947-1948, kiedy kilku polskich polityków łudziło się, że

można będzie skorzystać z „planu Marshalla”, co stworzyłoby dla Polski jakościowo nową sytuację. Jednak po kryzysie jugosłowiańskim i zerwaniu Josipa-Broz Tity ze Stalinem, pełnia władzy znalazła się w rękach Bieruta, całkowicie od Rosjan zależnego, wspieranego w kraju przez Bermana i Minca. Wszyscy oni odegrali bardzo negatywną rolę. Historycy twierdzą, że doradcą Bieruta był jakiś rosyjski pułkownik z NKWD, z którym w podejmowaniu decyzji Bierut się nie rozstawał. Polityka Gomułki była całkiem inna.

Po odwołaniu Gomułki z funkcji sekretarza generalnego KC PPR, Stalin przekonywał go, by pozostał w kierownictwie PZPR. Jednak Gomułka w liście odręcznie napisanym do Stalina stwierdził, że jego autorytet w partii został poderwany do tego stopnia, że nie może i nie chce pozostać w tym gronie. Gomułka był człowiekiem o silnym charakterze. Ogromnie apodyktyczny, uparty i arbitralny. Popęłniał wiele błędów, ale odwaga i niezłomność w latach 40. zapewniły mu po Październiku ogromne społeczne uznanie i poparcie, jakim nie cieszył się żaden przywódca.

KOMOROWSKI: Co się zmieniło po Październiku?

ROTFELD: Przełomem był XX Zjazd KPZR – z marca 1956 roku. W kilka miesięcy później doszło do czerwcowego buntu i powstania robotników w Poznaniu. Oczekiwania społeczne w Polsce były ogromne. Zachód, a szczególnie socjaldemokracja europejska życzliwie reagowały na polskie zmiany. Dobrze przyjęty był nowy szef dyplomacji – socjalista Adam Rapacki – znany i szanowany na Zachodzie. Rapacki zaczął delikatną grę. Nie chciał przekraczać pewnych granic, ale w sprawach dla Polski ważnych starał się prowadzić politykę w miarę samodzielnie. Fakt, że Polska brała na siebie główny ciężar werbalnej konfrontacji z Niemcami Zachodnimi był dla ZSRR wygodny. Była to gwarancja, że zależność Polski od Rosji pozostanie niezmienna. W sprawie granicy zachodniej Polska nie miała alternatywy. Moskwa była jedynym gwarantem tej granicy. Rapackiemu i Gomułce wydawało się oczywiste, że granica na Odrze i Nysie może być utrzymana tylko wtedy, kiedy Niemcy są podzielone.

Innymi słowy, Polska była niejako skazana na politykę utrwalania *status quo* i utrzymania podziału Niemiec. To trwało dość długo. „Plan Rapackiego”, wysunięty w 1957 i 1958 roku, a rozwinięty w roku 1962, formalnie dotyczył utworzenia w Europie Środkowej strefy bezatomowej. Obejmowałaby ona terytoria obu państw niemieckich, Czechosłowacji i Polski. Miał jednak ten plan drugie dno. Interesujące jest to, że opinia publiczna ani eksperci nie wydobywali tego, co było istotą tej inicjatywy. Również obecne podręczniki historii i opracowania nie dostrzegają, że sprawa dezatomizacji tego obszaru była jedynie rakieta nośną – wehikułem.

Gomułka, Rapacki i jego otoczenie – Przemysław Ogrodziński, Manfred Lachs – nie byli ludźmi naiwnymi. Przeciwnie, reprezentowali wysoki profesjonalizm i kierowali się racją stanu tak, jak ją wtedy rozumieli. Szukali formuły, która pozwoliłaby – jak mówią Anglicy – „zjeść ciastko i zachować je”. Rapacki nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone nie zgodzą się na utworzenie strefy bezatomowej w Europie. Jednak sama debata na temat statusu Europy Środkowej obejmującej RFN,

NRD oraz Polskę i Czechosłowację stwarzała nowe pole manewru – płaszczyznę politycznej gry, zgodnie z którą państwa Europy Środkowej nie byłyby zależne wyłącznie od Moskwy, ale uzyskiwałyby swoisty międzynarodowy status. Oznaczało to, że jeśli dojdzie do rozmów, to Niemcy Zachodnie w jakiejś pośredniej formie uznają NRD. Innymi słowy, projekt strefy bezatomowej miał utrwalić podział Niemiec oraz ustanowić w Europie obszar poddany międzynarodowej kontroli z udziałem Stanów Zjednoczonych i innych mocarstw zachodnich.

RATKOWSKI: Co zatem było najistotniejsze w Planie Rapackiego?

ROTFELD: Kluczowym słowem i głównym postulatem było „utrwalenie terytorialno-politycznego *status quo*”. Oznaczało to utrwalenie granic ustalonych po II wojnie światowej oraz przemian ustrojowych. Myśl Rapackiego poprzedzała w pewnym sensie koncepcję Egona Bahra, którą w 1963 roku przedstawił on w swoim przemówieniu wygłoszonym w świątyni ewangelickiej w Tutzing w Bawarii. Istotą koncepcji Bahra była *ewolucja poprzez zbliżenie*. Bahr postulował: by doprowadzić do przewyższenia podziału, trzeba najpierw uznać realia, czyli akceptować *status quo*. „Nie możemy zjednoczyć Niemiec bez zbliżenia z NRD i zbliżenia z Europą Środkową”. Z kolei praktyczna realizacja koncepcji Gomułki i Rapackiego zakładała, że po zawarciu porozumień z Niemcami spełnione będą inne polskie postulaty: uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej; uznanie *de facto* NRD; uznanie układu monachijskiego za nieważny od samego początku oraz wyrzeczenie się broni jądrowej przez RFN i zaakceptowanie specjalnego statusu Berlina Zachodniego. We wszystkich tych sprawach w latach 1970-74 zostały zawarte porozumienia. Układy te otwierały drogę do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która odegrała wówczas fundamentalną rolę w Europie Wschodniej – zapoczątkowała proces przemian wewnętrznych. Kraje Europy Środkowej i Wschodniej przyjęły zobowiązania o charakterze wielostronnym, które z jednej strony umożliwiły stopniowe odzyskiwanie niezależności, a z drugiej – w wyniku zmian wewnętrznych – sprzyjały kształtowaniu się demokratycznej opozycji, legitymizowały jej działalność i stwarzały swoisty dla niej zewnętrzny parasol ochronny.

CHUDZIŃSKI: Jak Polska te szanse wykorzystała?

ROTFELD: Akt Końcowy KBWE z Helsinek miał być dla Moskwy namiastką traktatu pokojowego z Niemcami. Równocześnie zobowiązania te otwierały dla społeczeństwa Polski i innych państw naszego regionu możliwości otwarcia na Zachód – nie tylko utrwalaly *status quo*, ale były zapowiedzią zmiany. W istocie był to proces, którego normy i zasady odpowiadały na pytanie: *how to manage the change*, czyli jak zarządzać zmianami – jak zapewnić to, że zmiany nie wymkną się spod kontroli. Bezpieczeństwo europejskie wymagało takich ram oraz idei organizującej, które określałyby kierunki zmiany i respektowanie uzgodnionych zasad.

Językiem polityki jest działanie. Kiedy mówimy o roli Gomułki w utrwaleniu polskiej obecności na ziemiach zachodnich i północnych, to nie wolno zapomnieć o tym, że na długo przed konferencją w Helsinkach gotowość otwarcia wobec Niemiec zasygnalizowali

polscy biskupi swoim orędziem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Gomułka nie chciał, by główną siłą i partnerem w rozmowach z Niemcami był Kościół. Reagował w typowy dla siebie sposób – napastliwy, obraźliwy i histeryczny. Cały 1966 rok upłynął pod znakiem rywalizacji, czy Polacy będą obchodzić *Tysiąclecie* – jak to głosił Gomułka, czy *Millenium* – jak to ujmował kardynał Wyszyński...

CHUDZIŃSKI: Istotą mądrej polityki zagranicznej i chyba każdej polityki w ogóle jest reagowanie na zmiany, umiejętność dostosowania się do zmieniającego się świata – tego, który Pan nazywa „światem niepewnym”.

ROTFELD: Wielkimi politykami i mężami stanu są przywódcy, którzy nie tylko reagują, ale kreują – są nie tyle reaktywni, co kreatywni. Od 1989 roku główną kategorią w polityce, słowem-kluczem nie jest *status quo*, jak to było w czasie zimnej wojny, ale *zmiana*. Prawdziwa polityka zagraniczna nie może być tylko dostosowywaniem się do zmian. Musi je wyprzedzać i nimi sterować. Zmiany mogą przecież potoczyć się w różnych kierunkach. Ewenementem jest to, że zmiany w naszym regionie miały przebieg pokojowy i w zasadzie bezkrwawy. Ale przecież mogło zdarzyć się inaczej. Dowodem choćby wojna na Bałkanach czy niewygaszone konflikty na Kaukazie Północnym.

Bezpieczeństwo dla wielu polityków jest tożsame ze stabilnością. Z kolei stabilność często mylą ze stagnacją. Sytuacja w krajach arabskich była w oczach tych polityków bardzo stabilna. Nie zrozumieli w porę, że w całym świecie arabskim podskórnie narasta wybuch. Inaczej było w naszej części świata. Gorbaczow miał odwagę powiedzieć, że król jest nagi i zmiana jest konieczna – czas na *perestrojkę*. Nie chciał jednak zmieniać systemu. Jego ambicją i celem było ten system ulepszyć, ale uruchomił proces, który prowadził do zmiany znacznie głębszej.

Jelcyń był zaprzeczeniem Gorbaczowa. Uważał, że ten system wyczerpał swoje siły motoryczne i wymaga radykalnego zerwania z komunistyczną przeszłością. Dziś świat i Rosja stoją przed innymi wyzwaniem. Jeśli mamy uniknąć globalnego kryzysu, to stoimy wobec konieczności wyprzedzenia zmian. O całym systemie światowym nie decydują dziś zmiany między państwami, lecz te, które zachodzą wewnątrz państw. Stany Zjednoczone są słabsze nie dlatego, że przegrywają jakieś wojny, bo przecież militarnie są w stanie z każdym wojnę wygrać. Są one słabsze wewnętrznie. Huragan Katrina uświadomił Amerykanom, że USA są nadal potężne, ale nie są już wszechpotężne. Rosja nie dlatego jest słabsza, że ma za mały potencjał broni jądrowej, ale dlatego, że jej system wewnętrzny, sposób zarządzania społeczeństwem i gospodarka nie nadążają za potrzebami wewnętrznymi i za innymi krajami. Polska nie dlatego jest dziś silniejsza, że ma potężną armię, bo przecież nie ma – ale polska gospodarka okazała się bardziej elastyczna niż w innych państwach Unii i niż wielu przypuszczało. Sprawia to, że Polska liczy się w Europie i na świecie bardziej niż miało to miejsce w przeszłości. O naszej pozycji stanowią dziś mądre sojusze – Unia i NATO – oraz przyspieszony rozwój. Wypadamy dobrze – nie tylko na tle innych państw naszego regionu, ale w skali ogólnoeuropejskiej.

Powtarzam: sprawy wewnętrzne mocniej dziś wpływają na stosunki międzynarodowe niż odwrotnie. Wielu ekspertów i polityków nie uwzględnia tego w swoich prognozach dotyczących przyszłości świata. Chiny stały się światowym mocarstwem nie tyle dzięki potencjałowi militarnemu, który nadal ustępuje potencjałowi rakietowo-jądrowemu Rosji, ani dlatego, że mają wielkomocarstwowe ambicje, ale dlatego, że ich gospodarka odnotowuje od wielu lat rocznie dziesięcioprocentowy wzrost. To samo dotyczy Brazylii i Indii. Państwa te ani oddzielnie, ani łącznie nie zdobyły do tej pory tej pozycji, jaką ciągle zajmują Stany Zjednoczone. Trzeba pamiętać jednak, że o ich przyszłości zadecyduje ich rozwój wewnętrzny. Dotyczy to również Unii Europejskiej. Jeśli Unia nie zdoła rozwiązać kryzysu w Grecji, to nie można wykluczyć, że rozpocznie się powolny proces dezintegracji i marginalizacji Europy. Doświadczenia 60 lat i fakt, że Unia wykazała nadspodziewanie wielką elastyczność na wszystkich etapach swojego rozwoju budzą nadzieję i optymizm. Unia jest w istocie w skali świata jakościowo zupełnie nowym doświadczeniem – jest to zwierzę polityczne, którego w historii jeszcze nie było. Jednak nic nie jest przesądzone ani dane raz na zawsze.

CHUDZIŃSKI: To jakie perspektywy ma Unia Europejska? I co nam jeszcze zgotuje XXI wiek w sensie globalnym?

ROTFELD: Fakt, że Unia funkcjonuje, jest swoistym cudem. Nikt nie wyobrażał sobie, że jest możliwa wspólna waluta bez wspólnej polityki fiskalnej. W Unii Europejskiej to jakoś funkcjonowało. To nie znaczy, że taki fenomen jest trwały i będzie funkcjonować w przyszłości. Mówię o tym w kontekście polityki zagranicznej. Narzuca się pytanie, czy jest możliwa wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwo, jeśli państwa unijne w obu tych obszarach nadal utrzymują własne polityki narodowe? Wspólna polityka zagraniczna wymaga poczucia wspólnoty opartej na nowej europejskiej tożsamości. Otwarte pozostaje pytanie: czy Europa dojrzała do tego typu wspólnotowego myślenia? W tej mierze czynnikiem rozstrzygającym może okazać się sytuacja kryzysowa i wspólne zagrożenie. Musimy być innowacyjni i kreatywni, by reagować w sposób skuteczny i adekwatny do nowych rodzących się niebezpieczeństw.

Główną sprzeczność współczesnego świata upatruję w trudności harmonijnego ułożenia stosunków między narodami i państwami – z jednej strony oraz społeczeństwami i społecznościami międzynarodową – z drugiej. Sprzeczności i napięcia między tymi fundamentalnymi kategoriami: organizacją narodo-państwową a otwartym społeczeństwem i społecznością międzynarodową zapewne określą przyszłość świata.

Świat zmienia się znacznie szybciej niż nasza zdolność percepcji i przetrwania tych zmian. Nie uświadamiamy sobie do końca, jak rewolucyjne znaczenie dla polityki zagranicznej mają niewyobrażalnie duże możliwości równoczesnego przenoszenia informacji do miliardów odbiorców. Warto pamiętać, że kluczowa dla rozwoju gatunku *homo sapiens* była i pozostaje zdolność do niegenetycznego przekazywania informacji. Powszechny dostęp do tych informacji zmienia sposoby podejmowania decyzji i „odczarowuje” swoisty urok władzy, która od czasów faraonów dysponowała

monopolem informacyjnym. Polityka przestała być wyłączną domeną dyplomatów i zawodowych polityków. Państwo straciło monopol i kontrolę nad procesem kształtowania stosunków między narodami. Tworzą się nowe sieci społecznościowe i społeczności informatyczne. Procesowi integracji towarzyszy nie tylko fragmentaryzacja, ale atomizacja społeczeństw. Są to procesy nie tylko ważne, ale groźne. Ich skutków nie jesteśmy w stanie do końca przewidzieć.

Źródłem zagrożeń są dziś w większej mierze państwa słabe i upadłe niż wielkie mocarstwa. Obszary niekontrolowanej biedy są większym zagrożeniem niż silne potęgi militarne. Ogniska zapalne we współczesnym świecie są często wynikiem działania jednostek i pozarządowych struktur, które wymykają się spod kontroli, a nie – jak to było w przeszłości – zorganizowane i silne agresywne państwa. Niekonwencjonalne zagrożenia wymagają niekonwencjonalnych odpowiedzi.

RATKOWSKI: Ślepotą naszych polityków i naszych mediów jest czasami zawstydzająca. Żadna gazeta nie zauważyła moim zdaniem najważniejszego wydarzenia w czasie wizyty Obamy w Polsce, a mianowicie obecności na spotkaniu prezydentów także Janukowycza. To niemal demonstracja niezależności Kijowa od Moskwy.

ROTFELD: Dotknął pan ważnej kwestii, mianowicie nie tyle tabloidyżacji, co infantylizacji prasy i politycznych komentatorów. Jest to zjawisko bardziej niepokojące niż tabloidyżacja. Infantylicyzacja wyraża się w połączeniu niskiego poziomu profesjonalizmu z brakiem odpowiedzialności. Jeden z publicystów na łamach poważnej gazety pisze, że Polska popełniła błąd w czasie drugiej wojny światowej, bo zamiast Hitlerowi – udzieliła poparcia Stalinowi. Gdyby bowiem Hitler zwyciężył z naszym poparciem, to przyjmowalibyśmy wspólnie defiladę na Placu Czerwonym... Inny z kolei dowodzi, że wartość Powstania Warszawskiego polega na tym, że... powstrzymało pochód Stalina na Zachód. Zapewne nie wie, że taki właśnie był ton antypolskiej propagandy Stalina, który tym argumentem uzasadniał powstrzymanie ofensywy na prawym brzegu Wisły.

Można powiedzieć, że myślenie ma przyszłość, ale głupota jest bezgraniczna. Środki masowego przekazu, a zwłaszcza internet otworzyły tamę, którą wyznaczało kiedyś poczucie odpowiedzialności autora i redaktora. Anonimowość komentarzy w internecie w połączeniu z nieograniczonym dostępem do informacji dawniej tajnych oraz wrażliwych danych sprawiają, że ta forma komunikowania się urasta do rangi nowego źródła zagrożeń...

CHUDZIŃSKI: Jeszcze, Panie Profesorze, niejedną brednię przeczytamy i usłyszymy. Na to chyba nie ma rady. My ze swej strony pięknie dziękujemy za to, że przyjechał Pan specjalnie do Krakowa, aby z nami porozmawiać.

**Rozmawiali:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
FILIP RATKOWSKI**

Kraków, 22 czerwca 2011 r.